



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

10
2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY



str. 12

HISZPANIA

KASTYLIA,
PANI NA ZAMKACH

str. 20

MAURITIUS

KOPCIUSZEK MASKARENÓW

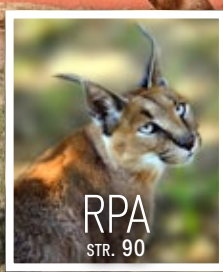
str. 26

POLSKA

GDAŃSK ALTERNATYWNIE

W PERU TAŃCZA LUDZIE I KONIE

str. 54



RPA
STR. 90

SZKOCJA STR. 64
PODRÓŻ W KRATĘ

IRAN STR. 74
WIELKI KRAJ
GOŚCINNYCH LUDZI

MEKSYK STR. 82
SERCE ŚWIATA MAJÓW

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802

917700321614702 10

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.





HISZPANIA str. 12



IRAN str. 74



SZKOCJA str. 64



POLSKA str. 26



PERU str. 54

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

HISZPANIA str. 12
Dzięki bogactwom
z Nowego Świata, które
przywoził tu Kolumb,
powstały wspaniałe dzieła
sztuki i architektury, ale
Kastylija słynie przede
wszystkim z zamków.
Elżbieta Pawełek

MAURITIUS str. 20
Rodrigues to najmniejsza
wyspa archipelagu
Maskarenów, opasana
laguną z kryształicznie
czystą wodą w lazurowo-
turkusowo-szmaragdowym
kolorze.
Tomasz Jaraczewski

POLSKA str. 26
Gdańsk alternatywnie.
Marta Legieć

AUSTRALIA str. 34
Whitehaven to wyspa jak
z powieści Juliusza Verne'a.
Jerzy Nowiński

GEOSKOP str. 40

TURCJA str. 44
Bosfor pulsuje i tętni
życiem, jest piękny, ale też
niebezpieczny.
Paweł Szulc

PODRÓŻNOŚCI str. 52
Kantata o kawie.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

POZNAJ ZWYCZAJ str. 54
W Peru tańczą ludzie i konie.
Paulina Hinz

NAVIGATOR str. 60

SZKOCJA str. 64
Kraina wrzosowisk,
zamków, gór i jezior
zamieszkałych przez
potwory.
Małgorzata Furgała

MIKROWYPRAWY str. 72
Pływanie na dziko.
Felieton Łukasza
Długowskiego

IRAN str. 74
Wielki kraj gościnnych ludzi.
Marcin Stencel

MEKSYK str. 82
Calakmul to serce
świata Majów.
Alicja Kubiak i Jan Kurzela

POLSKA NIEZNANA str. 88
Suwalska cisza.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
RPA str. 90
Menażeria Krugera.
Rafał Sitarz

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 100

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 102
Za pradawną palisadą.
Felieton Anny Szczyńskiej

OUTDOOR str. 106

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
tancerze mariny
z peruwiańskiego
Trujillo



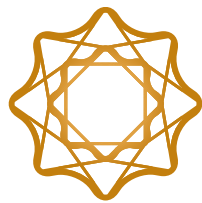
Paweł Augustyniak

POLSKA

Nie oceniaj po fasadzie

Łódź słynie z secesyjnych kamienic i urokliwych podwórek. Ich baśniowy klimat tworzą latarnie, żarówki, zabytkowe fontanny, ozdobne oficyny, balkony, bujna roślinność i bogato zdobione bramy. Niektóre podwórka mieszczą kawiarnie, puby i restauracje, inne bywają zamknięte na kłódkę i wymagają nie lada zmagania, aby zgłębić ich tajemnice. Ukazują prawdziwe oblicze Łodzi, którego nie da się poznać tylko poprzez oglądanie fasady.





OPAL TRAVEL
BIURO PODRÓŻY

✿ WYPRAWY W KAMERALNYCH GRUPACH ✿ WYPRAWY SZYTE NA MIARĘ
PODRÓŻE DLA KONESERÓW ✿ WYPOCZYNEK ✿ INCENTIVE

www.opaltravel.pl

OPAL TRAVEL ul. Karmelicka 19, 00-168 Warszawa, tel. (22) 636 93 99, (22) 636 94 32, +48 662 257 618



© WILLEM KRUGER, RPA, „Podrzućcie termid”

Willem Kruger (RPA)

RPA

Toko z przekąską

Toko czerwonolice mają masywne dzioby podobne do kleszczy. Zbierają nimi z ziemi przysmaki, takie jak mrówki, chrząszcze, koniki polne, a nawet skorpiony. Języki ptaków są zbyt krótkie, by sięgnąć po jedzenie. Muszą więc je podrzucić, złapać i połknąć.

KATEGORIA: PTAKI
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ZIEMI
FINALISTA

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2016, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. OD DNIA 6 WRZEŚNIA DO 22 PAŹDZIERNIKA WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM OKRĘGOWYM W SANDOMIERZU, UL. ZAMKOWA 12.

NOWY FORD KUGA

OFERTA ALL INCLUSIVE

Już teraz bogato wyposażony nowy Ford Kuga w wyjątkowej ofercie All Inclusive.

- 17-calowe felgi aluminiowe
- Audio Ford SYNC 3 z ekranem dotykowym 8"
- elektrycznie otwierane drzwi bagażnika
- automatyczna klimatyzacja dwustrefowa
- podgrzewane przednie fotele i przednia szyba

JUŻ OD

85 900 PLN

LUB

575 PLN/MIES.*

W FORD MULTIOPCJE 1,99%



Go Further

* Rata miesięczna dla Forda Kuga Trend, 1.5 EcoBoost, 120 KM, M6, FWD – z pakietem Amber X w cenie promocyjnej 85 900 brutto (zawierającej rabat od Ford Polska i Autoryzowanego Dealera), wpłata własna 25%, okres finansowania 24 miesiące, przebieg roczny 20 000 km. Oferta ograniczona w czasie i ilości. Zużycie paliwa i emisja CO₂ dla Forda Kuga Trend z pakietem Amber X, 1.5 EcoBoost, 120 KM, M6, FWD: 6,2 l/100 km, 143 g/km (zgodnie z rozporządzeniem WE 715/2007 z późniejszymi zmianami w WE 692/2008, cykl mieszany). Na zdjęciu Ford Kuga w wersji ST-Line.

Przykład reprezentatywny na dzień 6.07.2017. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 8,58%, całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 57 948,67 zł, całkowita kwota do zapłaty 72 909,40 zł, oprocentowanie zmienne 6,49%, całkowity koszt kredytu 14 960,73 zł, w tym opłata przygotowawcza 2 897,43 zł, odsetki 12 063,20 zł, 47 miesięcznych równych rat w wysokości 762,31 zł i ostatnia rata – 34 183,57 zł. Wymóg zawarcia umowy ubezpieczenia AC samochodu – koszt nie jest wliczony do RRSO.

Ford OneCall: 22 522 27 27 – opłata za połączenie zgodna z taryfą operatora. Wejdź na ford.pl i odkryj świat nowego Forda Kuga.

Dominik Siedlecki

BURKINA FASO

Mój dom, moja forteca

Tiébélé to wioska, której stara część przypomina fortecę. Domy, z których słynie, to odmiana tradycyjnych wiejskich lepierek z gliny. Urozmaicają je wyjątkowe, geometryczne, najczęściej czarno-białe wzory. Na tle naturalnego, rdzawego koloru wyschniętej gliny prezentują się zjawiskowo. Ponieważ wszystko jest tu robione ręcznie, każdy budynek nieco różni się od pozostałych wyglądem, kształtem i rozmiarem.





Tomasz Owsiany

FILIPINY

Czyste trwanie

Malerika wioska w głębi gór. Staruszek z ludu Kankanaey przesiaduje w okopconej chacie kuchennej. Kankanaeyowie są zaliczani do grupy Igorotów, wraz ze wszystkimi ludami zamieszkującymi łańcuch Kordyliery Centralnej na wyspie Luzon. Przez wieki rozwinęli oni sztukę budowy rolnych tarasów, podobnie jak ich dalsi sąsiedzi z prowincji Ifugao, w której znajduje się kompleks tarasów, odwiedzanych przez turystów z całego świata. „Sędziwy ojciec spędzał większość czasu, leżąc pod kocem w kuchni. Patrzył przed siebie wzrokiem, który już niczego nie oczekuje. Było to czyste, spokojne trwanie. Jego czas ulatywał powolnie z każdym kłębkim dymu uchodzącego z paleniska, a głównym oknem na świat były drzwiczki od kuchni”.

Tomasz Owsiany, „Pod ciemną skórą Filipin”, wyd. Muza.



Michał Kozok

PAPUA NOWA GWINEA

Zaszczepiony i zadowolony

Organizacja Hepatitis B Free z Sydney szczepi lokalną ludność w krajach Trzeciego Świata przeciw wirusowemu zapaleniu wątroby typu B. W ten sposób ratuje ludzkie życie. Ponieważ nie pobiera opłat administracyjnych, dotacje trafiają bezpośrednio do najbardziej potrzebujących. W organizacji pracują sami wolontariusze, tak jak autor zdjęcia, tym razem w Papui-Nowej Gwinei, w prowincji Oro.

www.kozok.eu

hepatitisbfree.org.au

Jan Wierzejski Production

POLSKA

Spanie w ścianie

Himalaya Base Camp to pierwsza tego typu impreza w Polsce. Uczestnicy biwaku na górze Wdżar mogli poczuć się jak w Himalajach. Umożliwiły to między innymi specjalne platformy ścienne, czyli *portaledge*. Służą one do biwakowania podczas długich dróg wspinaczkowych, gdy jedyną możliwością na ułożenie się do snu jest założenie wiszącego obozu. Alpinści spędzają na takich platformach czasami nawet kilka tygodni.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



KASTYLIA, PANI NA ZAMKACH

Elżbieta Pawełek

MYSZKA MIKI TU NIE MIESZKA

Najczęściej fotografowany zamek w całej Hiszpanii, alkazar w Segowii, na którym podobno wzorowali się projektanci zamku w Disneylandzie.



Jeśli lubicie przygody
z dreszczykiem
i hiszpańskie *tapas*,
Kastylia będzie dobrym
kierunkiem. Poznacie
tam słynne bodegi
i niezliczone tawerny.
Dowiecie się, jakie
tajemnice skrywają
kastylijskie zamki, czego
szukał tam Krzysztof
Kolumb i czy czeka nas
koniec świata...



KOLEBKA HISZPANII

Kastylia, rozpostarta na rozległej Mesecie Iberyjskiej, przecięta przez rzekę Duero, dała początek współczesnej Hiszpanii.

Mówi się, że Kastylia jest sercem Hiszpanii. Malowniczo rozciągnięta na równinach Mesety Iberyjskiej, ma wszystko, co prawdziwie hiszpańskie. Gotyckie katedry, uroczne tawerny i wręcz niezwykle zamilowanie do fiesty. To tutaj urodził się Cyd, legendarny

bohater. I tutaj płynęły bogactwa z Nowego Świata odkrytego przez Kolumba. Dzięki nim powstały wspaniałe dzieła architektury i sztuki, rezydencje i pałace.

Ale przede wszystkim Kastylia ma potężne zamki, zwane *castillos*, od których pochodzi nazwa całego regionu. Było ich niegdyś tysiąc w całej Hiszpanii, z czego przetrwała połowa, w tym ponad trzysta na kastylijskiej ziemi. Pomiędzy cudowną Segowią i królewskim Valladolidem będziecie je co krok odkrywać. Jedne strzeliste, inne okrągłe niczym torty z całą masą zdobień, surowe i słodkie, zależnie od obowiązującej mody i gustu ich właścicieli. Są wdzięcznym obiektem dla fotografów.

WRÓŻBY ŚWIĘTEGO FRUCTUSA

Ruszamy więc do Segowii, malowniczo położonej na skalistym wzgórzu, okolonym dwiema rzekami. Często porównują ją do okrętu



żeglującego po zielonej równinie, którego dziobem jest stary alkazar, masztem – katedralna dzwonnica, a sterem – ciągnący się z tyłu rzymski akwedukt, zbudowany ponad 2 tys. lat temu bez grama zaprawy murarskiej! Nic dziwnego, że stał się wielką atrakcją miasta.

Alkazar to bezsprzecznie najczęściej fotografowany zamek w całej Hiszpanii. Wydaje się bardziej zamkiem z bajki niż obronną twierdzą. Podziwiamy jego imponującą warownię z wysokimi basztami i mnóstwem strzeleckich wieżyczek, z których rozciąga się wspaniały widok na całą okolicę. Notabene, wzorowali się na nim projektanci słynnego Disneylandu w Kalifornii.

W zamku mieszkało tak wielu kastylijskich królów, że nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętają wszystkich, a wśród nich pyszny, nie lubiany przez lud Alfons X, który jedną z wież zamienił na obserwatorium astronomiczne. „Bóg powinien się ze mną skontaktować”,

rzekł podczas audiencji. I został ukarany. Kiedy wypowiedział te słowa, w zamek uderzył piorun. Na szczęście budowla zbytnio nie ucierpiała podczas pożaru. Kroniki odnotowały, że zdarzyło się to w 1862 r., po czym XV-wieczny zamek zrekonstruowano i celowo go wyolbrzymiono.

Dziś mało kto pamięta Alfonsa X, zwłaszcza że przy kolejnej butelce świetnego kastylijskiego wina (a znane bodegi kuszą tu na każdym kroku) chętnie zapomina się o ciemnych kartach historii. Wieczorem w barach kwitnie życie, rozbrzmiewa muzyka, restauracje oferują lokalne przysmaki. A największym

Z PRZESZŁOŚCIĄ I Z CHARAKTEREM

Segowia szczyci się kastylijskim charakterem i wspaniałą przeszłością, o której co krok przypominają niezliczone zabytki.





FOT. ELZBIETA PAMELEK

VALLADOLID KRÓLEWSKI

W czasach, kiedy miasto było siedzibą dworu królewskiego, często zaglądała do tej katedry Izabela Katolicka.

lokalnym rarytasem jest *cochinillo*, 21-dniowy prosiak, serwowany na ogromnych półmiskach w Mesón de Cándido, znanej knajpie tuż przy akwedukcie, która gości nie tylko koronowane głowy, lecz także gwiazdy filmowe i polityków.

Najpierw jednak szambelan wygłasza przemowę, potem przy gościach kroi na połowę prosię talerzem i z impetem rzuca naczyniem o podłogę, aż słychać brzęk tłuczonych skorup.

Czy było to również ulubione danie słynnego Lope de Vegi? W Segowii mówią, że niustająco drażnił władze swą romantyczną skłonnością do kobiet z wyższych sfer. Stworzył wzór śmiałego, prowokującego pisarza i spędził nawet pewien czas w więzieniu za napisanie błazeńskiego wiersza.

W Segowii bywał też Kolumb, który szukał tu nie tyle uciech, ile pieniędzy i sponsorów zamorskich wypraw. A przyjeżdżał tutaj nie bez powodu. Było to miasto herbowych pałaców kastylijskiej szlachty, a także dawna siedziba dworu królewskiego i parlamentu – Kortezów. To właśnie tu, w Segowii, w niepozornym kościele San Miguel przy Plaza Mayor, Izabela Kastylijska (zwana też Katolicką) została ogłoszona królową.

Ale dziś obiektem zachwytów jest Dama Katedr, jedna z najwyższych w Hiszpanii. Widać ją z każdego punktu miasta, a nawet z odległości 10 km od niego. Piękna i majestatyczna o zachodzie słońca, ozdobiona lasem wysmukłych wieżyczek. Na portalu nad wejściem umieszczono postać patrona miasta świętego Fructusa z książką. 25 października, podczas jego święta, tłumy zbierają się u wejścia do katedry, aby zobaczyć, jak przerzuca karty księgi, wspomagany elektrycznym mechanizmem. Kiedy przerzuci wszystkie kartki w książce, nastąpi koniec świata. „Ale nie ma takiego niebezpieczeństwa, bo książka ma tylko jedną stronę” – mówią mieszkańcy.

CIASTKO WAROWNE

W Kastylii tworzyła się wielka historia, a jej potęga rosła dzięki podbojom militarnym i związkom małżeńskim. Do XI w. królestwo Kastylii wchłonęło Leon, potem dzięki małżeństwu Izabeli z Ferdynandem w 1469 r. – Aragonię, później Katalonię i wreszcie cały Półwysep Iberyjski. Monarchowie byli wielkimi mecenasami sztuki, a ich pałace, jak choćby madrycki Palacio Real, porównywały z francuskim Wersalem, zachwycają do dziś.

Królewska władza najbardziej jednak potrzebowała twierdz i zamków obronnych. W połowie drogi z Segowii do Valladolidu przed nami wyrasta *castillo de Coca* (*coca* po hiszpańsku znaczy też „ciastko”). Najpiękniejszy zamek forteca, jaki można sobie wyobrazić. Przypomina bardziej wiejską rezydencję niż obiekt militarny. Z zewnątrz wydaje się słodki i romantyczny za sprawą różowych cegieł i ozdobnych wieżyczek nawiązujących do architektury mauretańskiej. Za to w środku zaskakuje surowym wnętrzem. Schody wąskie i strome, wszystkie wejścia malutkie, ale jak mówi przewodnik, większe nie były potrzebne,

bo ludzie w XV w. mieli półtora metra wzrostu. Schodzimy do małego więzienia, gdzie światło przeciska się z trudem przez niewielki otwór. Nie wiadomo, za co trafiali tu skazani, ale szybko opuszczamy to straszne miejsce.

Najbardziej intryguje nas jednak sekretny pokój z wyblakłymi mozaikami na ścianach, gdzie gdy stoi się w odpowiednim miejscu, można usłyszeć własny głos dochodzący zza pleców czy szept osób z drugiego końca... Czyżby odbywały się tutaj tajne narady, decydujące o przyszłych losach Kastylii? A może zawiązywano układy i powierzano sobie najskrytsze tajemnice? Nie zgłębiwszy zagadki, przechodzimy do zbrojowni, by obejrzeć zbroje rycerzy służących potężnemu rodowi Fonesca, pierwszemu właścicielowi zamku. Ostatecznie piękny obiekt trafił w ręce równie potężnej rodziny Alba, która w połowie ubiegłego wieku za symboliczną pesetę przekazała go ministerstwu rolnictwa, a to z kolei – szkole leśnictwa.

Ruszamy dalej, a na horyzoncie jak grzyby po deszczu wyrastają nowe zamki. Wspaniały, imponujący w Turégano, w El Salvador, gdzie ledwie zachowały się ruiny, w urokliwej wiosce Pedraza – był tu więziony ośmioletni delfin Francji wraz ze swoim młodszym bratem. Wieść niesie, że ich ojciec Franciszek I, wzięty do niewoli pod Pawią, przekazał wrogom własnych synów jako zakładników w zamian za swoją wolność.

Jesteśmy pełni wrażeń, a już widać kolejne zamczysko w Cuéllar. Trzeba też obejrzeć zamek La Mota na przedmieściach miasteczka Medina del Campo. Nigdy nie został zdobyty. Ale to nic dziwnego, kiedy widzi się potężne mury obronne, a za nimi kolejne, do tego imponujące wieże, tajemne korytarze z niewielkimi otworami, z których strzelano do wroga, i lochy, do których na długiej linie spuszczano więźniów. Z zaskoczeniem odkrywamy też ładne patio w stylu gotyckim. Najwyraźniej w dawnych wiekach walki nie były jedyną

DAMA KATEDR

Majestatyczna i piękna Katedra w Segowii, budowana ponad 200 lat, uchodzi za jedną z najwyższych w kraju.





FOT. ELIZBETA PAMELEK

SŁODKA COCA

Romantyczny i słodki z wyglądu – aż nie chce się wierzyć, że Coca to nie rezydencja, lecz obiekt militarny.

rozrywką. O tym zaś, że lud był pobożny, świadczy zamkowa kaplica Świętej Marii z przepięknym krucyfiksem z kości słoniowej.

wiele z dawnej świetności. Część najpiękniejszych budowli zburzono i wstawiono w ich miejsce betonowe wieżowce. Na szczęście zostało kilka obiektów godnych uwagi: piękna katedra, której budowę zaprojektował sam

DON KICHOT Z VALLADOLIDU

Mówi się, że wiele zamków powstało w XV w. po to, by strzec królewskiej siedziby w Valladolidzie. To miasto Izabeli, królowej Kastylii i Leonu, a potem całej Hiszpanii. Tu poślubiła Ferdynanda II Aragońskiego i na łożu śmierci sporządziła testament, w którym zarządziła, że Aragończycy mają być traktowani jak swoi. I podpisała go „Ja, Królowa”.

Wiele najsłynniejszych postaci Złotego Wieku, jak Kolumb, Filip II czy Cervantes, który napisał tu i wydał „Don Kichota”, żyło w Valladolidzie. Miasto rywalizowało z Madrytem o miano stolicy królewskiej.

W starych zaułkach i wąskich uliczkach, które są nieraz jedynym schronieniem przed ostrym słońcem, wiruje duch przeszłości. Wystarczy zamknąć oczy, aby zobaczyć koronowane głowy, królewskie orszaki, dowodzących żaków... Dzisiejszy Valladolid stracił jednak

ZŁOTA KRAINA

Po odkryciu Ameryki Kolumb nie szczędził Kastylii złota, za które powstały wspaniałe dzieła sztuki, pałace i zamki.



FOT. ELIZBETA PAMELEK

Juan de Herrera, twórca Eskurialu, uniwersytet, muzea i najbardziej pożądane w mieście, gdy głód człowieka ściśnie – bary z *tapas*.

O *tapas*, czyli przystawkach, słyszał chyba każdy, kto choć raz był w Hiszpanii. To wręcz jej symbol, nierozdzielnie z nią związany jak ryż z Chinami czy pizza z Italią. Ruszamy więc w obchód po barach, kosztujemy w jednych *jamón ibérico*, słynną hiszpańską szynkę, sery i kalmary, w innych – *gambas al ajillo*, krewetki w czosnku, i ośmiorniczki.

Trzeba w końcu znaleźć lokum na nocleg. A jeśli spać, to tylko na zamku! Nie będzie to takie trudne, bo pomysłowi Kastylijczycy zdążyli już przerobić część zamków na hotele. Na naszej liście numerem jeden jest Castillo del Buen Amor, Zamek Dobrej Miłości. Jak mówi dzisiejszy właściciel, w XV w. osiedlił się tu biskup Don Alonso de Fonseca wraz ze swoją kochanką Marią de Ulloa. Ich *love story* wywołała skandal, ukryli się więc na zamku. Miłość jednak kwitła i wkrótce doczekali się czwórki dzieci.

Rozglądamy się po pokojach, które niczym nie przypominają tych w nowoczesnych hotelach. Baldachimy przy królewskich łóżkach, dzwonki na służbę, a śniadanie, jak zapowiada miła recepcjonistka, będzie serwowane w dawnej stajni dla koni, którą przerobiono na potrzeby gości. Zgoda, pod warunkiem że wszystko będzie tak smaczne, jak cała Kastylia. ○



ZWIEDZAJ Z RADIEM GDAŃSK

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



Elżbieta Pawelek

Dziennikarka, narciarka, żeglarka i podróżniczka. Pływała katamaranem na Karaibach, leciała balonem w Afryce, podglądała rekiny na Bora Bora.

AFRYKA | Mauritius

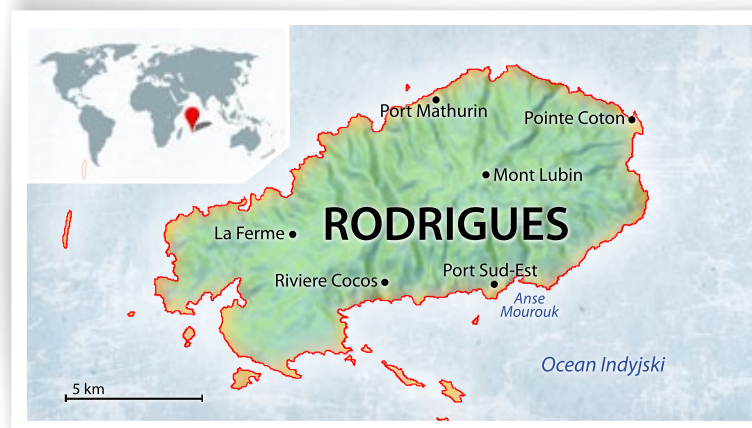
KOPCIUSZEK MASKARENÓW

Tomasz Jaraczewski



Sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Mauritiusa znajduje się Rodrigues, najmniejsza wyspa archipelagu Maskarenów, opasana laguną z krystalicznie czystą wodą w lazuruwo-turkusowo-szmaragdowym kolorze. Ma do zaoferowania piękne rafy, piaszczyste plaże i ciepłe wody oceanu. A do tego: zero ulicznych świateł, zakaz wwożenia foliowych toreb oraz nieobecność śmieciowego jedzenia.

Nasza półtoragodzinną podróż samolotem z Mauritiusa na Rodrigues mija na obserwowaniu oceaniczno-podniebego widnokregu oraz wsłuchiowaniu się w odgłosy popiskujących kurczaków, które ulokowane w klatkach między kabiną pasażerską a kokpitem, zapewne zastanawiają się, co czeka je w niedalekiej przyszłości. Jest to jedyna, nie licząc drogi morskiej, forma transportu żywego towaru oraz poczty między Mauritusem a jego mniejszą siostrą.



KATOLICKIE RODRIGUES

Eksplorowanie wyspy zaczynamy od Port Mathurin, stolicy Rodrigues, na której obrzeżach rezydujemy przez cały pobyt. Byliśmy świadomi, że miasto nie jest pokaźnych rozmiarów, liczy bowiem zaledwie 6 tys. mieszkańców, ale żeby spacer wszystkimi uliczkami

zajął tylko pół godziny... W dodatku nie była to przechadzka w zawrotnym tempie, gdyż promienie palącego słońca dawały się we znaki. Port Mathurin jest cichy, jakby pogrążony w permanentnej inercji, i w żadnej mierze nie przypomina pozostałych stolic Maskarenów – Port Louis czy Saint Denis.

ŁĄCZNIK NA HOLU

Mauritius Trochetia – jeden z dwóch statków towarowo-pasażerskich stale łączących wyspę Rodrigues ze światem. Właśnie wchodzi on do Port Mathurin, prowadzony przez dwa holowniki.





FOT. BARBARA TOMASZ JARZEMSKI

LEPSZY NIŻ ODRZUTOWIEC

Co prawda nie porusza się tak szybko jak prawdziwy Concorde, ale autobus o tej samej nazwie jest na pewno tańszy i mniej zawodny niż ów słynny odrzutowiec.

TRUDNE DOJRZEWANIE

Ośmiornice suszące się w promieniach słońca rozsiewają wkoło straszliwy smród. Taka forma powolnej konserwacji pozwala jednak zachować w tej popularnej na wyspie przekąsce dużo wartościowych minerałów.

Port Mathurin budzi się do życia o wpół do piątej, kiedy pracę rozpoczyna jedyna piekarnia z prawdziwego zdarzenia. Między szóstą a siódmą pojawiają się na dworcu pierwsze autobusy, a ulice zaczynają ożywać wraz z otwierającymi swoje podwoje butikami. I to właśnie te pomalowane na żywe kolory sklepiki wywołują uśmiech na twarzy każdego przybysza. Nie ma tu bowiem świątyn współczesnej konsumpcji – wielkich sieci handlowych, istniejących chociażby na Mauritiusie czy wyspie Reunion. W butikach na Rodrigues króluje sympatyczny nieład – z sufitu zwisają kapelusze, koła rowerowe i szczotki; na chwiejących się ze starości półkach dominuje radosny miszmasz: kawałki tkanin lśniących w promieniach słońca, plastikowe zabawki, produkty gospodarstwa domowego, konserwy. Cukierki, miejscowe wypieki i przyprawy dzielą się miejscem na

ładzie z wyblakłymi pocztówkami i gazetami, a w oknie wystawowym akordeon sąsiaduje z miotłą czy czapkami.

W Port Mathurin, poza dwoma czy trzema wyjątkami, trudno odnaleźć przykłady tradycyjnego budownictwa kreolskiego, które jest bogato reprezentowane na dwóch pozostałych wyspach archipelagu. Wałęsając się uliczkami stolicy, natrafimy jednak na autentyczne okazy lokalnej architektury. W samym centrum znajduje się dawna rezydencja gubernatora, którą chroni przed wzrokiem ciekawskich wysoki mur. Bramy „strzeże” armata, pamiętająca chyba czasy, kiedy na wodach Oceanu Indyjskiego grasowali William Kidd, Olivier Levasseur oraz inni korsarze. Nieco dalej, w kierunku handlowej części miasta, jest usytuowana urocza i charakterystyczna dla tego zakątka świata bryła kościoła. Dziewięćdziesiąt siedem procent miejscowej populacji jest wyznania katolickiego, toteż nieskrywaną radość sprawił im w 1989 r. Jan Paweł II, który odprawił mszę na stadionie w miejscowości La Ferme. W stolicy wyspy znajdują się też: dwa meczety, w tym jeden należący do społeczności muzułmańskiej ahmadija, świątynia luteranańska oraz kościół wspólnoty anglikańskiej.

Mężczyźni, w przeważającej większości zajmujący się rybołówstwem, spotykają się wczesnym popołudniem w barach, aby przy rumie, który postawiłby na nogi nawet umarlaka, wymienić się najświeższymi informacjami z życia wyspy, pograć w domino lub po prostu obserwować leniwie toczące się życie. Od czasu do czasu ten spokój i beztroska są



FOT. BARBARA TOMASZ JARZEMSKI

przerywane nagłym pojawieniem się zdezelowanego pojazdu miejscowej komunikacji.

O szesnastej sklepikarze zamykają swoje interesy, godzinę później docierają do stolicy ostatnie autobusy, i życie w mieście zamiera. Port Mathurin ponownie zanurza się w błogim letargu.

CONCORDEM DO POŁAWIACZEK

Nie wypożyczamy samochodu i korzystamy z dychawicznych autobusów, w których klimatyzację zapewniają otwarte na oścież okna. Pojazdy te są powolne, głośne i spalają więcej niż nasze stare jelcze „ogórki”, mają jednak wiele uroku, chociażby za sprawą ujmujących nazw własnych, dumnie prezentujących się na każdej karoserii. I tak na wschodnie wybrzeże zabiera nas Highway Express, a do Port Sud-Est, małego miasteczka na południowym krańcu wyspy, jedziemy Concorde.

Rodrigues odwiedzają dwie kategorie urlopowiczów. Pierwszą stanowią ludzie poszukujący spokoju podczas wakacji, zainteresowani autentycznością miejsca i pragnący poznać rytm lokalnego życia, dla których hordy turystów, hotelowe molochy znanych marek, plaże z kilometrowymi rzędami parasoli czy tandetne knajpki to koszmar. Drugą grupę

tworzą amatorzy sportów wodnych, głównie kitesurfingu oraz windsurfingu, które to dyscypliny na Rodrigues nabierają zupełnie innego, wręcz niematerialnego wymiaru dzięki przecudnej lagunie.

Większość autobusów wyjeżdżających ze stolicy mozolnie wspina się z poziomu oceanu do Mont Lubin leżącego 300 m wyżej i będącego rodzajem pętli rozwidlającej się w kilku kierunkach. Kierujemy się ku południowemu krańcowi wyspy – odcinkowi drogi między miasteczkami Port Sud-Est a Rivière Cocos, gdzie miejscowe kobiety zajmują się specyficznym rodzajem pracy...

Wpływ kobiet na gospodarkę Rodrigues jest nie do przecenienia. Wykonują zazwyczaj kilka zajęć: opiekują się liczną rodziną, hodują bydło, uprawiają niewielkie przydomowe skrawki ziemi. Jakby tego było mało, niektóre z nich parają się podczas oceanicznego odpływu polowaniami na ośmiornice. Jest to poważane, acz trudne zajęcie, przynoszące rodzinom kobiet niewielkie dochody.

Wyekwipowane w metalową pikę i ubrane w trzciniowe kapelusze oraz kalosze, skoro świt wyruszają pirogami w morze. Zatrzymują się na dobrze sobie znanych płycznach, które następnie przemierzają zdecydowanym krokiem, co drażni zaszyte w kryjówkach ośmiornice. Wytrawne oko poławiaczki przedzej czy

NA ŁÓW, NA ŁÓW, NA ŁOWY

Podczas odpływu ocean udostępnia swoje bogactwa – wtedy zaczynają się zbiorowe łowy.

FOT. BARBARA TOMASZ JARACZEWSKY





FOT. BARBARA TOMASZ JARCIŃSKA

WYDARZENIA NIE DO PRZEOCZENIA

Sobotni targ w Port Mathurin stanowi jedno z dwóch cotygodniowych wydarzeń, które elektryzują mieszkańców. Autobusy napakowane ludźmi ściągają do miasta już przed piątą rano. Potem, gdy krążymy między straganami skupionymi w zadaszonej hali, jesteśmy pod wrażeniem sprawności dokonywanych tam transakcji. Napawamy się też różnorodnością kolorów i smaków oferowanego asortymentu: papaje, ananasy, karambole, granaty, mango, kokosy, papryka chili... istna feeria barw, kształtów i zapachów.

W części rozstawionej pod gołym niebem przeważają stoiska z artykułami rękodzielniczymi: kapeluszami, koszykami, dekoracjami wykonanymi z włókien pandanu trwałego. Swój kram rozstawia tu również niejaka Marylou Augustin, niewiasta, która swoimi domowymi, niezwykle aromatycznymi i pięknie garniowanymi wypiekami nęci powonienie, wzrok, a w końcu i podniebienia przechodniów.

Kilka dni później znowu zrywamy się z łóżek chwilę po wschodzie słońca, ponieważ do stołecznego portu ma zawinąć Mauritius Trochetia, jeden z dwóch statków towarowo-pasażerskich, które zapewniają regularne połączenie na trasie Port Louis (stolica Mauritiusa) – Port Mathurin. Mimo że przybycie statku nie wzbudza już takiego entuzjazmu mieszkańców jak kilka czy kilkanaście lat temu, kiedy zawijał rzadziej, to jednak jest

NAJWIĘKSZA NA OCEANIE

W miejscowości Saint Gabriel, w sercu wyspy, znajduje się rzymskokatolicka katedra wzniesiona z kamienia wulkanicznego. Zbudowano ją w 1939 r. i do dziś jest największą świątynią na Oceanie Indyjskim – mieści 2 tys. osób.

później wylapie oznaki zamaskowanego głowonoga. Czasami potrzebne są na to godziny żmudnego brodzenia w wodzie. Bardzo często wracają do domu z niczym. Niejednokrotnie kończą dzień z ukąszeniami lub ranami na ciele zadanymi przez ośmiornicze przyssawki.

Nie są to jedyne niebezpieczeństwa, które czyhają na poławiaczki. Podczas stąpania po dnie morskim muszą uważać na jeżowce, rybę drętwe z rodzaju *torpedo*, wytwarzającą impulsy o wysokim napięciu, oraz szkaradnicę, której ułknięcia mogą okazać się śmiertelne; trafia się też i murena, która może zadać człowiekowi poważne, często szarpane rany wymagające interwencji chirurga.

Powróciwszy po zakończonym połowie na plażę, kobiety myją ośmiornice w oceanicznej wodzie i sprzedają handlarkom, które wysuszają je potem w słońcu, poćwiartują, a następnie odsprzedadzą na targu.

WESOŁE ŻYCIE KREOLA

Główna ulica Port Mathurin, stolicy wyspy, liczącego 6 tys. mieszkańców. Miejscowych cechuje pogoda ducha i prawdziwie kreolskie *art de vivre*.



FOT. BARBARA TOMASZ JARCIŃSKA



to nadal wydarzenie oczekiwane – chociażby ze względu na zaopatrzenie sklepów. Dzień przed przybyciem statku półki sklepowe, zwłaszcza te z chemią, kosmetykami, napojami czy artykułami przemysłowymi, świecą prawie pustkami – dobę po jego rozładowaniu po brakach w asortymencie nie ma już śladu.

SZCZĘŚCIE W BUTELCE

Obojętnie, czy na wyspę przybywa się drogą morską, czy lotniczą, każdy przybysz zauważy, że mniejsza siostra Mauritiusa nie oferuje niczego na pokaz i że nie ma tutaj miejsca na sztuczność. Hoteli na Rodrigues jest zaledwie kilka – dach nad głową zapewniają turystom głównie pensjonaty oraz gospodarstwa agroturystyczne. Natura, spokój i gościnność to główne atrybuty tej mało znanej w Polsce wyspy.

Piękno Rodrigues najlepiej odkrywać pieszo, niezależnie od tego, czy poznajemy życie stolicy, atrakcje interioru lub piękno wybrzeża. Najbardziej malownicze trasy oferuje południowo-wschodnia część wyspy, zwłaszcza ta usytuowana przy linii brzegowej. Wędrówka od Pointe Coton aż do Anse Mourouk jest nader przyjemnym doświadczeniem, zwłaszcza dla osób, które cenią sobie ciszę i pragną przez kilka godzin pobyc w symbiozie z przyrodą. Przejście tej trasy podzieliliśmy na trzy dni, tak aby nie gnać bezmyślnie przed siebie, lecz nacieszyć wszystkie zmysły, sfotografować malownicze zakątki, a tam, gdzie dopadnie nas ochota, zanurzyć się w ciepłych i bajecznie czystych toniach oceanu. Cała wschodnia linia

brzegowa jest niczym drogocenny naszyjnik, na który są nanizane liczne plaże i zatoczki. A jedna piękniejsza od drugiej. Na dodatek większość z nich można mieć na wyłączność, gdyż miejscowa ludność zażywa morskich kąpeli głównie w weekendy.

Owiewani oceaniczną bryzą, wędrujemy raz piaszczystym brzegiem, innym razem po skałkach, a kiedy indziej leśną ścieżką wśród drzew rzewni skrzypolistnej, zwanej przez miejscowych *filao*, dającej ukojenie od żaru lejącego się z nieba. Mijamy zatokę Fumier, wygiętą w długi piaszczysty łuk plażę w miejscowości St. François oraz kilka pomniejszych miejsc kuszących ciepłą wodą i piaskiem drobnym jak mąka. Docieramy w końcu do Trou d'argent, jednej z większych zatoczek na naszej trasie. „Srebrna jama” albo „dół z forsą”, bo w ten sposób można przetłumaczyć nazwę tego miejsca, wiąże się z legendarnym skarbem pirackim. Według miejscowych rybaków, którzy lokalne wody znają jak własną kieszeń, w pogodny dzień z lotu ptaka, daleko na oceanicznym dnie, można dostrzec łańcuch prowadzący do fortuny morskich rozbójników...

W pewnym momencie schodzimy do małej, acz bardzo urokliwej zatoczki o melodyjnej nazwie Anse Bouteille, którą można przetłumaczyć jako Zatoczka Butelki. Godzinny pobyt w tym niezwykłym miejscu, zakotwiczonym między dwoma klifami, przypomniał nam, co napisał kiedyś o takich chwilach Jean Giraudoux: „szczęście to mała rzecz, którą się smakuje, siedząc na ziemi w promieniach słońca”. ○



Tomasz Jaraczewski

Z wykształcenia romanista, z zawodu nauczyciel języka angielskiego, a z zamiłowania wagabunda. Kiedyś podróżował samotnie albo w grupie znajomych, obecnie odkrywa świat razem z żoną i trzyletnią córką.



GDAŃSK ALTERNATYWNIE

Marta Legieć

OSKAR I GÜNTER

W pobliżu dawnego domu Güntera Grassa, przy placu Wybickiego, w 2002 r. ustawiono pomnik Oskara Matzeratha, bohatera powieści „Biały bębenek”. W 2015 r. dołączyła do niego figura pisarza.

Są w Gdańsku rzeczy, o jakich wam się nie śniło. I miejsca, o których nie mieliście pojęcia. Bo Gdańsk to nie tylko Neptun i urocze kamienice na Głównym Mieście. To zbiór setek tajemnic, których odkrywanie jest jak wyciąganie skarbów z pękatej, drewnianej skrzyni.

Zacznę szczerze, ale postaram się, żeby nie było nudno. Na początek niech będzie wspomniany już Neptun. Stoi w najbardziej reprezentacyjnej części Gdańska – na Długim Targu. Na pierwszy rzut oka widać, że to duży i silny chłop. Kaszubi mówią na niego Kręsztof i powtarzają legendę, według której każdy, kto przyjedzie do miasta po raz pierwszy, musi pocałować rzeźbę poniżej pleców. Zadanie nie należy do łatwych. Fontanna jest otoczona kratą ze złotymi herbami Gdańska i polskimi orłami.

Neptun stoi tu od 1615 r. i wydaje się niewzruszony. Być może nie ma pojęcia, że ma rywala, który bacznie przygląda mu się z wysokości. Jeśli chcecie znaleźć drugiego Neptuna, wystarczy, że staniecie tuż obok Ratusza Głównego Miasta i przyjrzyście się dachom pierwszych kamienic po prawej stronie. Przy Długim Targu 2 stoi konkurent naszej gwiazdy. A może to jego anioł stróż? Jednak to nie koniec niespodzianek związanych z władcą mórz i oceanów. W Gdańsku mamy trzeciego osobnika z tym tytułem. Stoi na szczycie kamieniczki na ulicy Piwnej. W tym miejscu zakochane pary umawiają się na randki.

DŁUGIE PANOWANIE

Fontannę Neptuna znajdziemy w najbardziej reprezentacyjnej części Gdańska – na Długim Targu. Król oceanów stoi tu od prawie 400 lat.

ZŁOTO DLA WSZYSTKICH

Jeśli chcecie zwiedzać miasto utartym szlakiem, wpadnijcie do restauracji Pod Łososiem na kieliszek 40-proc. likieru ziołowo-korzennego o pięknie brzmiącej nazwie

Goldwasser. To właśnie tutaj powstał w połowie XVI w. najśłynniejszy gdański trunk. Od tego czasu złota woda jest związana z Gdańskiem równie mocno jak Neptun. Likier jest wyjątkowy, głównie dlatego, że pływają w nim drobne płatki najprawdziwszego 22-karatowego złota. Goldwasser pili rosyjski car Piotr I i francuski król Ludwik XIV. Ostatnio raczyli się nim księżna Kate i książę William. Twierdzili, że smaczny, choć mocny. Spróbujcie, oceńcie.

Na listę miejsc do zobaczenia wpiszcie też legendarnego Żaka. Dziś obraduje tu Rada Miasta Gdańska, jednak w latach 50. przy Wałach Jagiellońskich rezydowała grupa satyryków ze słynnego BIM BOMU, z Bobkiem Kobiela i Zbyszkim Cybulskim





FOT. MARTA LEGEC

na czele. Parę kroków dalej, przy ul. Garncarskiej 18/20, znajdziecie Rudego Kota. Klub już nie istnieje, ale właśnie w tym miejscu odbył się pierwszy rockandrollowy koncert w Polsce.

SZTUKA DUŻEGO FORMATU

Z góry zerka na mnie piękna Tamara Łempicka, polska malarka modernistyczna znana nie tylko ze swoich sukcesów artystycznych, ale i z barwnego życia oraz zamiłowania do szybkości. Nad nią samolot PZL.37 Łoś, polski bombowiec zaprojektowany przez inż. Jerzego Dąbrowskiego. Całość to piękna pochwała oddana estetyce modernizmu i idealne nawiązanie do lotniczej historii przestrzeni, na której powstała gdańska Zaspą, osiedle do dziś przecięte pasem startowym.

Kompozycja muralu z Łempicką jest utrzymana w stylu art déco. To zaledwie jedna

z 63 prac, które tworzą niepowtarzalną galerię miejską, największą tego typu w Europie. Na tak małym obszarze jak gdańska Zaspą nigdzie nie występują równie licznie. Są też doceniane. Galeria na osiedlu została wyróżniona przez amerykański portal Huffington Post. Gdańskie murale jako jedyne przykłady wielkoformatowego malarstwa ściennego z Polski znalazły się wśród kolekcji z Londynu, Nowego Jorku, Melbourne, Buenos Aires czy Rio de Janeiro.

Oglądam je jeden po drugim podczas niespiesznego spaceru po osiedlu. Zachwycający jest ten wernisaż na świeżym powietrzu. Jestem pełna podziwu dla twórców tych dzieł i tego, jak banalne blokowisko zmienili w unikalną galerię pod gołym niebem. Różne wizje, style i temperamenty. Na jednych znane postacie, na innych wymyślone stworzenia, zwierzęta i ludzie. Deszcz kolorów pod chmurami.

DLA BRZUCHA I DLA DUCHA

Trudno się nie zachwycić gdańską zabudową z przedprożami zdobionymi rzygaczami. W tle ulicy Piwnej (pełnej restauracji i knajpek) widać bazylikę Mariacką – największą ceglana świątynię w Europie.

Właśnie powstaje mural inspirowany „Śądem Ostatecznym” Hansa Memlinga. Zresztą co chwilę na Zaspie stają wysokie rusztowania, a na nich artyści z całego świata. Murale, które wciąż powstają na tutejszych ścianach wielkiej płyty, w zamysle miały ożywić przestrzeń blokowiska oraz umożliwić mieszkańcom codzienne obcowanie ze sztuką. Udało się. Malowidła rzeczywiście uczyniły z blokowej dzielnicy jedną z najciekawszych przestrzeni w mieście. Chodząc od bloku do bloku, możemy się tu zapomnieć na długie godziny. Wielkie dzieła podobają się też mieszkańcom osiedla. Do tego stopnia, że proponowali, aby wyciąć niektóre drzewa obok domów, bo... zasłaniają obrazy.

Pierwsze murale na szczytowych ścianach wieżowców powstały w 1997 r. Przygotowano je na obchody 1000-lecia Gdańska. Na blokach pojawiło się wówczas 11 obrazów. Ten najśłynniejszy, symbol dzielnicy, znajdziemy przy ul. Dywizjonu 303. Przedstawia wizerunki Lecha Wałęsy i Jana Pawła II. Chociaż na obrazie widnieje 1999 r., mural powstał w 1997 r.

Prac jest coraz więcej i są coraz ciekawsze. Szlakiem murali oprowadzają mieszkańcy, ale też lokalni przewodnicy, którzy podczas bezpłatnych spacerów opowiadają o historii i architekturze osiedla oraz artystach i ich

wielkoformatowych realizacjach. Można też zwiedzać bardziej nowoczesnie, na przykład ze smartfonem w rękę. Odpowiednia aplikacja prowadzi szlakiem murali, a po zameldowaniu się w każdym miejscu otrzymamy informacje o poszczególnych pracach.

ŻYCIE W WIELKIEJ PŁYTCIE

Większość Zaspy stoi na dawnych terenach lotniska. Osiedle w XIX w. było poligonem wojskowym oraz strzelnicą. W 1914 r. tereny włączono do Gdańska. Stąd już tylko przysłowiowy rzut beretem na Przymorze, na którym zobaczycie coś, co pewnego razu przysniło się kilku szalonym architektom, a potem postanowili zrealizować ów sen. Ich dzieło po latach jest wyjątkową ciekawostką turystyczną, najdłuższym budynkiem w Polsce, drugim pod względem długości budynkiem mieszkalnym Europy. Falowiec przy ul. Obrońców Wybrzeża ma blisko kilometr (860 m) długości.

Kiedy przy nim stoję, mam wrażenie, że kręci mi się w głowie. Budynek wydaje się nie mieć końca, ciągnie się jak gąsienica. A może jest to morska fala, jak chcieli twórcy tego dzieła? Ze swoimi jedenastoma kondygnacjami jest ogromny. Z jednej strony przeraża i przytłacza, ale z drugiej w jakiś pokrętny

FALA Z BETONU

Wije się jak dżdżownica i wydaje się nie mieć końca. Najdłuższy polski falowiec znajduje się na osiedlu Przymorze przy ulicy Obrońców Wybrzeża.



FOT. MARTA LEGEĆ



przestrzeni niebanalnych, nieopisanych w przewodnikach. Trafiają więc na Przymorze, by z falowcem gigantem zrobić sobie selfie. Pamiątkową fotkę ma nawet brytyjska księżniczka Anna, córka królowej Elżbiety II, która podziwiała go w latach 90.

WYSTĘPY GOŚCINNE
Kataryniarzy na Głównym Mieście nie brakuje, nawet tych z Warszawy. Dzięki nim Gdańsk nabiera atmosfery z dawnych lat.

HIPSTERZY I GRASS

Mrocznych, mrozących krew w żyłach historii o Dolnym Wrzeszczu nasłuchałam się w życiu całkiem sporo. Podobno w tej dzielnicy można było nie

ŁEMPICKA NA WYSOKOŚCIACH
Gdańska Zaspą słynie z murali. Ogromne prace powstają na ścianach szczytowych bloków mieszkalnych.



sposób fascynuje i przyciąga. Wielu nazywa to eksperymentem mieszkaniowym. I może wszystko byłoby w porządku, gdyby eksperyment nie stał się domem dla wielu tysięcy gdańszczan, symbolem upadku budownictwa. W tym architektonicznym cudzie żyje blisko 6 tys. osób. To małe miasto, odrębny świat. Jeśli trasę od początku do końca budynku zechcemy pokonać autobusem, będziemy musieli przejechać aż trzy przystanki.

Falowców w Gdańsku jest w sumie osiem. Zwykle mają po ok. 200 m długości. Powstały w latach 60. i 70., kiedy w mieście mieszkań było jak na lekarstwo. W zamyśle twórców miały stanowić rozwiązanie tymczasowe. Jednak jak to zwykle bywa z czymś, co ma przetrwać chwilę, koszmar epoki PRL-u wrósł w nadmorski krajobraz na długie lata. Dziś specjaliści przekonują, że to budynki o bardzo solidnej konstrukcji, które bez problemu wytrzymają wiele lat. Sto, a może nawet więcej. Już teraz powoli stają się kultowe. Coraz więcej tu turystów poszukujących w Gdańsku



FOT. KATARZYNA ROJEK

WRZESZCZ PO HIPSTERSKU

Dolny Wrzeszcz przeszedł metamorfozę. To tu przyjeżdża się na humus i wegańską sałatkę.

tylko stracić portfel, ale nawet życie. Zawsze zadziwiały mnie te opowieści i szeroko otwierałam oczy, kiedy ich słuchałam. Mieszkałam przez lata w Dolnym Wrzeszczu i poza smutnym panem z przyklejonym wiecznie do ręki piwem nikt nie wzbudzał mojego niepokoju.

Teraz dramatycznych opowieści jest coraz mniej. Może nawet nie ma ich wcale. Dolny Wrzeszcz stał się jednym z urokliwszych zakątków miasta, mekką hipsterów. Wpadają tu na wegańską sałatkę i humus. Zrewitalizowana ulica Wajdeloty, na której jak grzyby po deszczu powstają modne knajpki, wprost zachwyca. Dawni mieszkańcy, którzy wyprowadzili się stąd dekadę temu, ledwo poznają otoczenie. Secesyjne kamienice z przełomu XIX i XX w., ozdobione wieżyczkami i wysuniętymi balkonami, nabrały nowych odcieni i blasku. Stały się prawdziwą ozdobą najstarszej części tej dzielnicy, która zachwyca nie tylko architekturą, ale też historią.

Po Wajdeloty spacerował przed laty Günter Grass. Laureat literackiej Nagrody Nobla urodził się w 1927 r. w Gdańsku. Dzieciństwo i młodość spędził właśnie w Dolnym Wrzeszczu, przy ul. Lelewela 13. Łatwo znaleźć dom rodzinny pisarza, w czerwcu 2000 r. otrzymał stosowną tabliczkę pamiątkową.

Kto zechce podążać śladami noblisty, do odwiedzenia będzie miał jeszcze kilka punktów w okolicy. Grass uczył się w obecnym gmachu II LO przy ul. Pestalozzkiego. Na placu Wybickiego stoi natomiast rzeźba przedstawiająca Oskara Matzeratha, bohatera znanej powieści „Blaszany bębenek”. Mały werblista siedzi na ławce i spokojnie patrzy na fontannę, w której pluskają się gołębie.

PAMIĘĆ ŚWIATA

Zawsze trudno mi zachęcić kogoś do odwiedzania muzeów. Muzeum to synonim nudy. Na szczęście nie w każdym przypadku. Europejskie Centrum Solidarności ma do zaoferowania znacznie więcej niż miejsca, do których zdążyliśmy się przyzwyczaić. ECS porusza emocje.

Budynek niczym gigantyczny okręt zacumował na industrialnych terenach postoczniowych. Wyrósł w środku pustki, która dawniej była stocznia. Potężna, ekspresyjna bryła i wnętrza o przeszkłonych, lekko pochyłych ścianach idealnie wpisują się w krajobraz terenów przemysłowych, choć nie wszystkim przypadły do gustu, kiedy powstawały. Na teren muzeum wchodzi się przez historyczną



FOT. MARTA LEGIEĆ



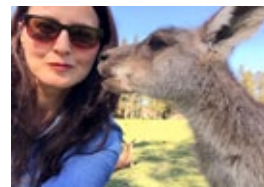
FOT. MARTA LEGIEĆ

Bramę nr 2 Stoczni Gdańskiej. Tuż obok stoi Pomnik Poległych Stoczniovców 1970 r.

Zgromadzona na kilku piętrach, jedna z najnowocześniejszych wystaw w Europie, opowiada historię działającego w Stoczni Gdańskiej związku zawodowego, ruchu, który odegrał kluczową rolę w obaleniu komunizmu w Polsce. Dotyka świeższej i bliższej wielu osobom historii, stąd też pewnie tak mocny jej odbiór u zwiedzających. Wiele osób pamięta czasy prezentowane na fragmentach filmów, w wycinkach prasy, na wystawach odwzorowujących ówczesne realia. Wiele tu elementów, które nie tak dawno były naszą codziennością, a w ścianach muzeum stały się faktami historycznymi. To wehikuł czasu, na którego początku stoją tablice 21 Postulatów, wiszące podczas strajku w Sierpniu '80 na bramie Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wpisane już na listę UNESCO „Pamięć świata”. A potem jest coraz więcej opowieści, dla których zabrakło miejsca w podręcznikach historii... ○

ORP ECS

Zewnątrz Europejskie Centrum Solidarności przywodzi na myśl powstający na pochylni statek. Wewnątrz kryje m.in. nowoczesne muzeum.



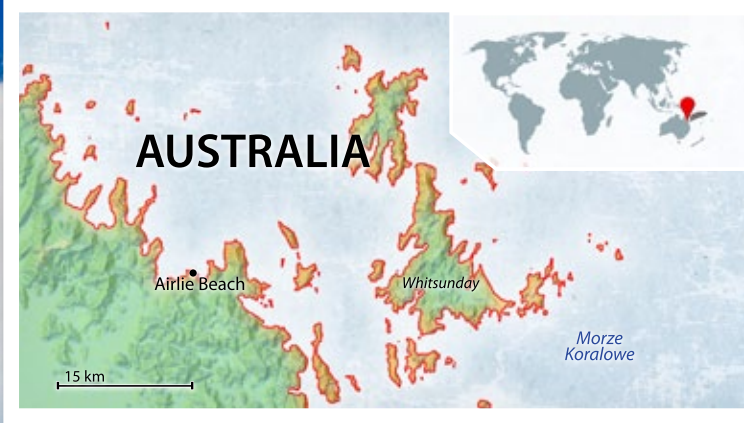
Marta Legieć

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.

Jerzy Nowiński

TAJEMNICZA WYSPA





Zostałem sam. Mogę tylko patrzeć, jak za horyzontem znika łódź, a wraz z nią szanse mojego powrotu na kontynent. Nieprawdopodobnie drobny piasek łaskocze w stopy, przede mną rozpościera się Ocean Spokojny i wizja życia na bezludnej wyspie. Mam mały baniak słodkiej wody, nóż i paczkę makaronu. Ciekawe, czy uda mi się przetrwać do czasu przyplłynięcia pomocy.

Uczciwie przyznam, że odrobinę podkoloryzowałem ten opis. Rzeczywiście stoję na bezludnej wyspie, mój środek transportu właśnie odpływa w siną dal, a piasek pod stopami jest po prostu niesamowity. Nie wspomniałem tylko, że trafiłem tu na własne życzenie i wreszcie, po wielu latach odnalazłem swoją przystań. Dokładnie: Białą Przystań, bo tak w tłumaczeniu na język polski nazywa się jedna z najpiękniejszych plaż na kuli ziemskiej – Whitehaven.

Można o niej powiedzieć, że ciągnie się przez 7 km i w 98 proc. jest pokryta czystym krzemem, który w ciągu dnia nagrzewa się znacznie wolniej niż zwykły piasek. Można wspomnieć, że leży na wchodzącej w skład Wielkiej Rafy Koralowej wyspie Whitsunday

(Zesłania Ducha Świętego), którą w czerwcu 1770 r. odkrył kapitan James Cook. Można, ale czy taki opis choć odrobinę odda atmosferę tego miejsca?

RAJ NA WYŁĄCZNOŚĆ

Patrzę na ciągnący się po horyzont pas bieli i mam ochotę po prostu biec przed siebie. Wrażenie przestrzeni jest tak silne, że aż zapiera dech. Wszędzie wokół mnie jest piasek, biorę go do ręki, przesypuję między palcami i stwierdzam, że w istocie coś musi być z jego składem – pomimo upału jest tylko ciepły, a jego ziarenka są niczym drobno zmielona sól. Do tego dochodzi ocean, chciałoby się powiedzieć turkusowy, ale przy brzegu jest

PIASEK MALOWANY WODĄ

Z góry widać, jak w zatoce Hill Inlet trwa nieustająca walka rzeki z piaskami Whitehaven.



wręcz przezroczysty. Można położyć się na wodzie, a cień rzucany na dno sprawi wrażenie, jakbyśmy unosili się w powietrzu.

Jak dostać się na Whitsunday? Sposobów jest kilka. Można: dopłynąć na pokładzie prywatnego jachtu, przylecieć wodnopłatem, bądź też (w wersji dla mniej zamożnych wycieczkowiczów) zabrać się jedną z łodzi, które każdego ranka wypływają z miejscowości Airlie Beach. Nie licząc rejsu żaglówką, wszystkie powyższe rozwiązania mają jedną zasadniczą wadę – na wyspie spędzi się co najwyżej dwie, trzy godziny. Co pozostaje podróżnikom, którzy chcą mieć na dłużej mały kawałek raję dla siebie?

Jeśli tylko nie wadzi nam brak wygód, na Whitsunday możemy przypłynąć na pokładzie małej łodzi desantowej. Po około półtoragodzinnym rejsie trafimy tam z 10 litrami wody pitnej, kuchenką gazową i namiotem. Jeśli chcemy zanocować na polu kempingowym (pozbawionym bieżącej wody), musimy dodatkowo zapłacić kilka dolarów

i zarejestrować się na stronie parku narodowego – miejsca są limitowane i cała wyspa o powierzchni 275 km² może pomieścić najwyżej 114 robinsonów. Gdy wylądowałem na plaży, było nas szesnaścioro, rozrzuconych na pięciu odseparowanych od siebie stanowiskach. Uważam, że 17 km² wyspy na wyłączność powinno wystarczyć każdemu!

PIANKA W RAJU

Whitsunday to rajską plażę, turkusowa woda i rafa koralowa przy samym brzegu. Jednak ze względu na śmiertelnie groźne meduzy (kostkowce) do kąpiele należy założyć specjalną piankę.





NIE STRASZ WARANA

Należy mieć na uwadze stałych mieszkańców wyspy – warany Goanna. Można do nich podejść dość blisko, ale nie wolno ich dokarmiać ani straszyć.

MIEJSCE Z WIDOKIEM NA NIEBO

Mój marsz wzdłuż brzegu zdaje się nie mieć końca. Zwrotnikowe słońce praży niemiłosiernie, mimo że wylałem na siebie już prawie pół opakowania kremu do opalania. Wygląda na to, że jego promieniom nie przeszkadza nawet moja lniana koszula. Co gorsze, plaża przez noc zrobiła się węższa. Nadal jest to gigantyczna połać piachu, ale nie robi takiego wrażenia, jak pierwszego dnia. Na szczęście zbliżam się do celu mojej podróży – zatoki Hill Inlet. Gwiazdy Whitehaven, która z bliska wygląda...jakoś tak nieszczęśliwie.

Obraz Whitsunday z perspektywy pieszego wydaje się zbyt płaski. Zatoczka jest dość malownicza, ale na pewno nie jest to widok



z listy „muszę go zobaczyć przed śmiercią”. Zresztą właśnie z tego powodu tak popularne są tu loty wodnopłatami. Szczęśliwie byłem na to przygotowany i jeszcze przed dopłynięciem na wyspę sprawdziłem, że po drugiej stronie zatoki znajduje się małe wzgórze z punktem widokowym Tongue Point. Wystarczy tylko przepłynąć na drugi brzeg...

Prąd jest za silny. Woda w najgłębszym miejscu ma ponad 2 m głębokości i boję się, że przy próbie sforsowania rzeka wyrzuci mnie na otwarty ocean. Co robić?! Zdesperowany, rozglądam się wokoło – zewsząd otacza mnie piasek i woda. Dopiero gdzieś dalej rozpoczyna się linia drzew i... chwila! Przecież tam jest wzgórze. Może uda mi się na nie wdrapać? Wydaje się najwyższym punktem w okolicy i przynajmniej teoretycznie panorama ze szczytu powinna być lepsza niż z punktu widokowego. Tylko jeśli mam zdążyć do obozowiska przed zmrokiem, muszę się spieszyć!

Na Telephone Hill nie należy wybierać się w samych klapkach! To był mój pierwszy wniosek po tym, jak zacząłem wspinąć się po kamienistym zboczu. Bez dobrego obuwia droga nie należy do najłatwiejszych, zwłaszcza



że na samym początku po prostu jej nie ma (pomysł wdrapania się na wzgórze nie jest zbyt rozpowszechniony). Będziemy musieli przedzierać się przez krzaki i dopiero w połowie podejścia zobaczymy małe kamienne piramidki ułożone przez podróżnych, które wskażą drogę na szczyt.

Stoję tu dosłownie od godziny. Kończy mi się woda, zbliża się zachód słońca, a ja nie potrafię oderwać wzroku od panoramy wyjętej żywcem z kart powieści Juliusza Verne'a. Z jednej strony rzeka tajemniczo wije się pomiędzy zielonymi wzgórzami Whitsunday, z drugiej – turkusowy ocean usiany wyspami archipelagu. No i oczywiście zatoka, ona gra tu pierwsze skrzypce – piasek i woda, połączone razem kilkoma pociągnięciami pędzla. Nie ma pomiędzy nimi granicy, tylko smugi, raz bielsze, raz bardziej błękitne, zgrane w jedną nieprawdopodobnie piękną całość.

PLAŻO, GDZIE BYŁAŚ?

Szczęśliwie droga w dół z boczka okazuje się znacznie łatwiejsza i udaje mi się nie skrócić kostki na wystających kamieniach. Zadowolony wracam po własnych śladach i dopiero

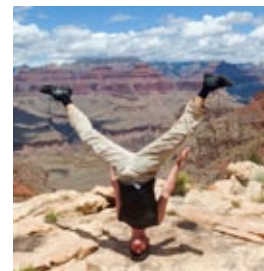
przy brzegu orientuję się, że coś jest nie tak – ukradli zatokę!

W trakcie mojej nieobecności ktoś wypompował prawie całą wodę z Hill Inlet. Przy tak niskim stanie rzeki przejście na drugi brzeg nie stanowi żadnego problemu i bez trudu mógłbym dostać się na punkt widokowy. Co więcej, podmienili Whitehaven. Jeszcze dwie godziny temu chodziłem po małym skrawku plaży, a teraz stoję na środku gigantycznej piaskownicy. Gdzie nie spojrzę, ciągną się szerokie połacie bieli, które nadają temu miejscu lekko surrealistyczny wygląd.

Wszystkiemu winne są pływy morskie. Plaże na Whitsunday są płaskie i nawet niewielka różnica poziomów wody znacznie wpływa na ilość widocznego przy brzegu piasku. Podobnie zatoka, która przed południem wypełnia się wodą, wieczorem jest praktycznie pusta. Gdybym na mój spacer wybrał się dosłownie godzinę później, bez trudu trafiłbym na platformę widokową. Mógłbym usiąść wśród tłoczących się wokół mnie turystów, słuchać silnikowego ryku pontonów i patrzeć na zatokę z wysokości kilkunastu metrów. Uff... mało brakowało i straciłbym swój własny, prywatny kawałek raj. ○

PEŁEN ODPLYW

Wystarczy poczekać na odpływ i Whitehaven z pięknej plaży zmienia się w niesamowite morze piasku. Najciekawsze są okolice zatoki Hill Inlet, gdzie ziarenka mieszają się z wodą i tworzą delikatną pianę.



Jerzy Nowiński

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawać na głowie. W trakcie wyprawy szuka przygód i miejsc, które pozwalają lepiej zrozumieć świat i poznać jego piękno. Obecnie pracuje nad książką o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

ROWERY Z DUSZĄ

Grupa pasjonatów postanowiła wydać pierwszy ścienny kalendarz rowerowy na polskim rynku. Pojawią się w nim rowery znanych motoryzacyjnych marek, jak Peugeot z 1900 r. i Opel z 1926 r. Polskie modele w kalendarzu to: damski i dziecięco-młodzieżowy z lat 30. firmy Adama Kamińskiego, poznański Kastor z 1934 r. oraz Olimpia z 1962 r.

Rok rozpocznie się od Dürkoppa z 1934 r. W kalendarzu będą także rowery sportowe: angielski New Hudson z 1927 r. i francuski Griffon z 1934 r.

Brennabor z 1922 r. będzie w marcu. To na rowerze tej firmy Kazimierz Nowak udał się w swoją podróż do Afryki. W maju Pani Ania zaprezentuje rower NSU z 1954 r., a jej córka – niemiecki rowerek z lat 30. Grudzień będzie należał do holenderskich i niemieckich rowerów dziecięcych z pierwszej połowy XX w. Kalendarz będzie w sprzedaży od połowy listopada w sklepie internetowym: rower-power.dawanda.com. Można go także zamówić w przedsprzedaży od 15 września w niższej cenie pod adresem e-mail: iwona.cerba@rower-power.pl.



FOT. MAGDALENA ADAMCZEWSKA

JESIENNY HARPAGAN

Ekstremalny Rajd na Orientację Harpagan to impreza dla każdego. Motto „Tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono” przyświeca każdej edycji od 1989 r. Nie jest ważne, ile kilometrów pokona uczestnik, ważne, by wziął udział, zmierzył się ze swoimi słabościami i pojawił się na mecie. Wśród tras znajdują się piesze (10, 25, 50, 100 km), rowerowe (50, 100, 200 km) oraz mieszana (150 km).

Harpagan to impreza wyjątkowa, bo łączy aktywność fizyczną i umysłową na świeżym powietrzu, promuje zdrowy styl życia bez względu na wiek. Odbywa się wiosną i jesienią, gromadzi za każdym razem około tysiąca uczestników. To największe zawody



na orientację w Polsce. Trasy i punkty kontrolne są obsługiwane przez elektroniczny system Sport Ident. Jesienny Harpagan odbędzie się w dniach 20–22 października w Szemudzie.

¿QUÉ PASA?

Szkoła językowa Kontakt Español w Poznaniu jest pomysłodawcą i organizatorem Festiwalu Kultury Hiszpańskojęzycznej ¿QUÉ PASA?, adresowanego do wszystkich hispanofilów. Odbyło się już 19 edycji i wydarzenie na stałe wpisało się w kulturalny kalendarz Poznania.

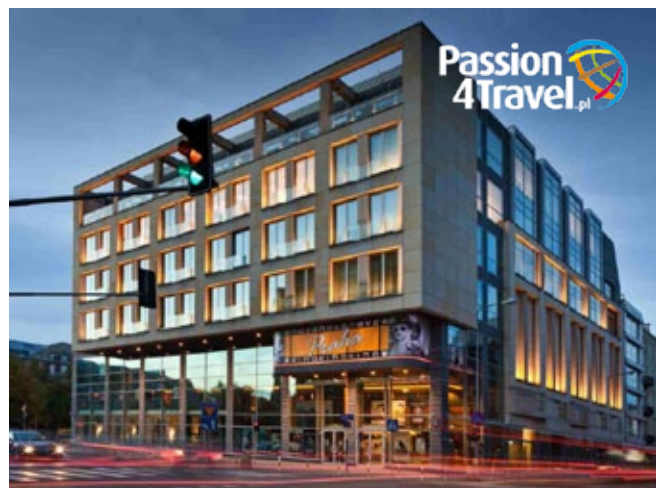
W programie każdy znajdzie coś dla siebie: liczne zajęcia językowe, kino hiszpańskojęzyczne, opowieści podróżnicze, warsztaty kulinarne i taneczne, degustacje hiszpańskich specjałów i wiele innych. Motywem przewodnim jest język hiszpański i większość spotkań,

prezentacji i warsztatów jest prowadzonych właśnie w tym języku, przez los nativos z Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej. Udział w większości wydarzeń jest bezpłatny lub – jak np. w przypadku degustacji czy pokazów filmowych w kinie Muza – za niewielką odpłatą. Liczba miejsc jest ograniczona, obowiązuje rezerwacja udziału on-line. Festiwal odbędzie się w dniach 9–14 października. Więcej na stronie www.quepasa.pl



PASSION4TRAVEL.PL

Niezwykłe fotografie prezentowane na największym ekranie kinowym przenoszą widzów w zupełnie inną rzeczywistość. Dzięki zmodernizowanym ekranom w warszawskim kinie Praha widzowie będą mogli cieszyć się intensywnością kolorów i nieskazitelnym obrazem. Podczas spotkań miłośnicy podróży słuchają ekscytujących opowieści prelegentów, którzy opowiadają o swoich przygodach, innych kulturach, ludziach i zwyczajach. Passion4Travel.pl jednoczy ludzi gotowych porzucić znane szlaki, by dotrzeć dalej i poczuć więcej. Spotkania podróżnicze odbywają się w wybrane czwartki miesiąca o godz. 20.30.



Le Blanc w Burkinie

Bezpretensjonalny kolaż Bspisywanych na gorąco wrażeń i zdjęć codziennego życia mieszkańców Burkina Faso. Dominik Siedlecki, zafascynowany Afryką londyńczyk z Polski, wybrał się w podróż, by poczuć tętno, którym pulsuje afrykański kontynent.

Podziwiał krajobrazy – porośnięte sawanną wzgórza i spalone słońcem gliniane meczety – ale przede wszystkim interesowali go ludzie. Zanurzył się w ich powszedniość, tradycję i kulturę. Dzięki swojej otwartości przełamywał międzykulturowe bariery i niespiesznie odkrywał świat zupełnie inny niż ten opisany w przewodnikach turystycznych. Swoje obserwacje notował w telefonie komórkowym, codziennie, na bieżąco. Zebrało się ich tyle, że po kilku latach postanowił wydać je jako książkę. Publikacja jest dwujęzyczna, można ją czytać po polsku i po angielsku. www.peopleoftheworld.co.uk/burkinabook





TRAVENALIA 2017

Travenalia nawiązują do tradycji spotkań podróżniczych organizowanych w Krakowie już w latach 70. Były to imprezy otwarte, zarówno dla tych, którzy podróżowali po świecie, jak i dla tych, którzy tylko o tym marzyli. Na spotkania do Krakowa przyjeżdżali podróżnicy z całej Polski, ale także dyplomaci z dalekich krajów. Zdarzało się, że serwowano egzotyczne potrawy, a czas umiły występowały grupy tanecznych.

Taką samą formułą przyjęto dla Travenaliów, które są imprezą otwartą i niekomercyjną (wstęp wolny). Travenalia to pokazy przeźroczy, filmów, prezentacje tematyczne, ekspozycje wydawnictw czy oferty turystyczne, a przede wszystkim znakomici podróżnicy. Festiwal odbędzie się w dniach 21–22 października w Krakowie przy ulicy Krupniczej 33 w sali Auditorium Maximum.



10. MEDIATRAVEL

Festiwal Mediatravel ma formułę konkursu w kategoriach: film, programy tv, audycje radiowe, fotografia, wyprawa i książka. To odkrywanie świata oczami twórców mediów, spotkania z dziennikarzami, znanymi podróżnikami i odkrywcami, historykami, profesorami. To historia wypraw i ekspedycji podejmowanych w najdalsze zakątki świata, historia cywilizacji. Wiele tematów będzie dotyczyć polskiej historii, jakości życia społecznego,

sposobów poprawy wizerunku Polski za granicą, możliwości pogłębiania tożsamości narodowej, dziedzictwa kulturowego, aspektów, które służą jednoczeniu Polaków.

Szczególnym dniem będzie Dzień Polonii (29.10.2017), którego hasłem przewodnim jest: Perspektywa jedności Polonii w przeddzień 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Festiwal odbędzie się w dniach 26–29 października w EC1 Łódź – Miasto Klutury.

www.mediatravel.pl

COMYROBIMY czyli podróż za uśmiech

Agnieszka i Marcin Bomba w kwietniu postanowili wyruszyć w podróż, która miała trwać pół roku. Jednak już po dwóch tygodniach poczuli, że chcą zwiedzić cały świat. Zakochali się w Tajlandii, następnie odwiedzili Malezję, potem wybrali się do Singapuru, Hongkongu, Brunei i Laosu. Chwilowo są w Europie i wkrótce lecą do Afryki z zamiarem zobaczenia wszystkich państw kontynentu. Podróż ma trwać jeszcze trzy lata, chcą zwiedzić wszystkie kraje na świecie i sprawdzić przy tym, ile jest wart uśmiech w dzisiejszych czasach.

www.facebook.com/tripforasmile
www.comyrobimy.pl



ZA NAMI:



13. SPOTKANIA Z FILMEM GÓRSKIM

ŚWIĘTO LUDZI GÓR POD TATRAMI

Spotkania z Filmem Górskim, organizowane w tym roku po raz trzynasty, wcale nie okazały się pechowe. Atrakcje okołogórskie wypełniły ostatnie dni wakacji, od 30 sierpnia do 3 września. Oprócz seansów filmowych (21 filmów z 10 krajów w konkursie głównym, 14 filmów w pokazach pozakonkursowych, 6 filmów dokumentalnych w pokazie TVP Historia i „Taternika”, a także specjalne pokazy filmów pamięci Ueliego Stecka i o kobietach na K2)

odbyły się warsztaty dla zaawansowanych turystów, zawody wspinaczkowe Zako Boulder Power, spotkania z podróżnikami, dyskusje o ochronie przyrody i prawach człowieka czy szalone wycieczki w Tatry w stylu Chałubińskiego. Zakopiański festiwal dawno przestał być imprezą środowiskową, a stał się wielkim festynem miłośników gór i ludzi odwiedzających wtedy Zakopane. Imprezę wspiera Regatta.

ZAPOWIEDŹ

MEMORIAŁ
 IM. WOJTKA KOZUBA
BIEG NA BABIĄ GÓRĘ



Memoriał Wojtka Kozuba odbędzie się na Babiej Górze już po raz szósty. 7 października około 200 biegaczy ponownie zmierzy się z 14-kilometrową trasą, żeby uczcić pamięć wybitnego polskiego himalaisty. Wojtek Kozub w 2011 r. zginął podczas zejścia z Mont Blanc. Babia Góra fascynowała Wojtka. Wszedł na nią kilkaset razy. Czerwonym, żółtym, niebieskim szlakiem... Docierał na szczyt z różnych stron. Zabierał także swoich przyjaciół i rodzinę. Trasę zawodów poprowadzono znakowanymi szlakami turystycznymi. Nagrody funduje Regatta.

DALMACJA
 ULTRA TRAIL
**BIEGANIE
 Z HISTORIĄ W TLE**

ZAPOWIEDŹ



Miasteczko Omiš, w XII-XIV w. znane jako siedziba piratów, kanion rzeki Cetina, przecinający górski masyw Mosor, ruiny starożytnego miasta Salona, stolicy rzymskiej prowincji, a poza tym średniowieczne kościoły, kamienne cytadele, podniebne zamki, zagubione w górach klasztory i nadmorskie mariny – to nie program wycieczki krajoznawczej, tylko atrakcje, które czekają 20-22 października na uczestników zawodów Dalmacja Ultra Trail (dystanse: 20, 60, 100 i 155 km). Regatta w ramach programu „RUSZ SIĘ!” wspiera również ten bieg na Chorwacji.

WIĘCEJ INFORMACJI O IMPREZACH NA **RUSZSIE.ORG**

Paweł Szulc

BOSFOR – PIĘKNY I ŚMIERCIONOŚNY

CZERWONY, CZYLI ZIELONY

Zdjęcie wykonane przez jeden z satelitów programu Landsat, ukazujące Bosfor i Stambuł.

W tej technice im kolor bardziej czerwony, tym teren bardziej zielony.





SPOJRZENIE MIĘDZYKONTYENTALNE

Najwyższe wzniesienie Stambułu – wzgórze Büyük Çamlıca po azjatyckiej stronie miasta. Widok na Bosfor oraz europejską część metropolii z nowoczesnymi wieżowcami.

FOT. PAMEL SZCZĘC

Rankiem 15 listopada 1991 r. na brzegu Bosforu pojawiły się dziesiątki zmęczonych, przerażonych i oblepionych ropą naftową owiec. Setki kolejnych pływało martwych w cieśninie. Poprzedniego wieczora doszło do kolizji dwóch statków. Filipińska jednostka zderzyła się z przewożącym owce statkiem pod libańską banderą. W wyniku tego zdarzenia zginęło 21 tys. zwierząt. Wywołało to lokalną katastrofę ekologiczną.

Czym dla Nowego Jorku jest Broadway, dla Paryża Pola Elizejskie, dla Barcelony La Rambla, a dla Londynu Oxford Street – tym dla Stambułu jest właśnie Bosfor. Na wodzie czujemy się jak na głównej arterii wielkiego miasta. Ruch jest nieustający. Bosfor pulsuje i tętni życiem. Miejskie promy nieustannie kursują

między brzegami cieśniny, przewożą dziesiątki tysięcy osób dziennie. Towarzyszą im statki wycieczkowe, łodzie rybackie, prywatne łodzie motorowe, no i wreszcie statki handlowe.

GĘSTO I NIEBEZPIECZNIE

Konwencja z Montreux z 1936 r. gwarantuje wszystkim statkom handlowym swobodny przepływ przez Bosfor. Kiedy była podpisywana, rocznie przepływało tamtędy około 4,4 tys. jednostek. Dziś liczba ta znacznie wzrosła. Aktualne wyliczenia wskazują, że rocznie cieśninę przekracza 50–55 tys. statków, co oznacza, że codziennie pokonuje ją blisko 150 kontenerowców, drobnicowców i innych jednostek. Rocznie przewożą one około 150 mln ton ładunku, z czego większość stanowią paliwa.

Trzydziestokilometrową cieśninę łączącą Morze Czarne i Marmara pokonują jednostki, których długość sięga nawet 300 m. Problem tkwi jednak w tym, że Bosfor jest uznawany za jedną z najtrudniejszych tras morskich do pokonania. Cieśnina jest niezwykle kręta i stosunkowo wąska. Jej szerokość waha się

od 700 m do 3,7 km. Dodatkowym utrudnieniem są dwa przeciwne prądy: powierzchniowy, który z prędkością 4 km/h przenosi wysłodzoną wodę z Morza Czarnego na południe, i głębinowy, skierowany w przeciwnym kierunku, przynoszący zasoloną wodę w kierunku północnym. Do tego dochodzą jeszcze wiatry, a najczęściej wieje tu z północy lub północnego wschodu. Niebezpieczeństwo stanowią jednak wiatry południowe, które osiągają nawet prędkość 60 węzłów, przy czym towarzyszą im niskie chmury, deszcz i mgły.

Wszystkie te czynniki powodują, że na Bosporze dochodzi do wielu wypadków, niejednokrotnie bardzo poważnych, niosących śmierć. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat liczba ich ofiar idzie w setki. Zdecydowana większość katastrof przydarzyła się, kiedy na pokładach jednostek nie było tureckich pilotów, którzy mogliby pomóc pokonać najtrudniejsze odcinki. Zgodnie jednak z zapisami konwencji z Montreux Turcja nie może nikomu nakazać korzystania z pomocy pilotów. Tymczasem przecenianie swoich możliwości, brawura i zwykła nieostrożność są przyczynami tragedii.

W grudniu 1960 r. doszło do pierwszego poważnego skażenia Bosforu ropą, kiedy to zderzyły się dwa tankowce: jugosłowiański i grecki. Dwadzieścia osób poniosło śmierć, kilkanaście tysięcy ton ropy wyciekło do wody, pożar trwał parę tygodni. W listopadzie 1979 r. miała miejsce jeszcze większa tragedia – w wyniku błędu greckiego kapitana dowodzona przez niego jednostka wbiła się w największy rumuński tankowiec M/T *Independenta* (długość 283 m). Uderzenie wywołało gigantyczną eksplozję tankowca. Ludzie skakali do wody, a płonąca ropa zbierała krwawe żniwo.



Czterdzieści trzy osoby zginęły, blisko 100 ton ropy zanieczyściło wody cieśniny. Służby pożarnicze nie były w stanie opanować pożaru, który tygodniami trawił wraki i wypalał ropę unoszącą się na wodzie.

Wielokrotne wypadki i towarzyszące im pożary powodowały też niszczenie nabrzeży. Ucierpiały przystanie promowe, luksusowe wille budowane nad samą wodą, a nawet usytuowany po azjatyckiej stronie dworzec kolejowy.

STAMBUŁ UROCZY OD WODY
Tak jak z jednej strony Bosfor może stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo, tak z drugiej jest wielkim zbawieniem dla stambulskiej

AKTORKA STRATEGICZNA

Wieża Leandra, położona u południowego wejścia na Bosfor, niedaleko brzegów stambulskiej dzielnicy Üsküdar. Kiedyś miała znaczenie strategiczne – dziś jest najbardziej znana z występowania w tureckich serialach.





FOT. PAMEL SZULC

BŁĘKIT W CIENIU SŁOŃCA

Meczet Sułtana Ahmeda, znany jako Błękitny Meczet. W takim ujęciu – na tle zachodzącego słońca – kolory nie mają oczywiście większego znaczenia.

metropolii. To jedno z największych miast na świecie – według różnych szacunków mieszka tam od 11 do 20 mln ludzi. Ale niezwykle usytuowanie tej aglomeracji, położonej częściowo nad morzem Marmara i w dużej części nad Bosforem, powoduje, że miasto nie przytłacza wielkością. W krótkim czasie z zatłoczonych, hałaśliwych i zaniedbanych ulic możemy dotrzeć nad wodę. Obcujemy wówczas z zupełnie innym światem. Turecki noblista Orhan Pamuk w swojej twórczości wiele miejsca poświęcał Bosforowi. „W przeciwieństwie do reszty miasta, przytłoczonej smutkiem i biedą, Bosfor tętnił radością życia, ekscytacją i szczęściem” – pisał, wspominając swoje dzieciństwo w Stambule.

Nie do końca jasne jest pochodzenie Bosforu. Opublikowana w drugiej połowie lat 90. teoria głosiła, że ok. 5600 lat przed naszą erą podnoszące się wody mórz Śródziemnego i Egejskiego przełamały krytyczny poziom i niejako przelały się do – będącego wówczas słodkim jeziorem – dzisiejszego Morza Czarnego. Na terenie dawnej doliny rzecznej powstała cieśnina Bosfor. Geolodzy do dziś spierają się o datę i skalę tego zdarzenia.

W połowie XIX w. polski duchowny Ignacy Hołowiński odbył podróż do Ziemi Świętej. Pierwszym przystankiem na jego drodze był Konstantynopol. Przybył tam z Krymu,

po pokonaniu Bosforu. W wydanym w Petersburgu w połowie XIX w. opisie wyprawy przywołał historię pewnego Anglika, który również przyłynął do Konstantynopola. Widok miasta, jaki zobaczył z pokładu statku na Bosforze, tak miał go urzec, że postanowił nie schodzić na ląd i odpłynąć dalej, żeby nie zepsuć wrażenia. Hołowiński głęboko uwierzył w tę historię. „W rzeczy samej wiele się traci uroku za wyjściem na ziemię, gdzie lichota domów i nieporządek, odczarowują” – pisał.

To opinia sprzed 150 lat, jednak również i dziś niezwykle atrakcyjną formą poznania Stambułu jest właśnie rejs po Bosforze. Możemy skorzystać z miejskich promów, które za równowartość paru złotych przewiozą nas z europejskiego brzegu metropolii na azjatycki. Na długo w pamięci zapada widok dwóch monumentalnych budowli: półtoratysiącletniej bazyliki Hagia Sophia i stojącego nieopodal meczetu Sułtana Ahmeda, znanego lepiej jako Błękitny Meczet. Wrażenie jest jeszcze



FOT. PAMEL SZULC



większe, jeżeli zdecydujemy się późnym popołudniem wsiąść na prom w azjatyckiej dzielnicy Kadiköy i popłynąć w kierunku starego miasta. Wówczas te dwie majestatyczne budowle możemy podziwiać na tle zachodzącego słońca.

Płynąc tym samym promem, minimy po drodze inny ciekawy obiekt: położoną na niewielkiej wysepce na Bosforze wieżę Leandra. To miejsce strategiczne, nieopodal wejścia do cieśniny, którego znaczenie doceniali już kilka wieków przed naszą erą greccy mieszkańcy miasta. Wieża jest znana przede wszystkim z popularnych w Polsce tureckich seriali. Ich reżyserzy chętnie wykorzystują to malownicze ujęcie do zilustrowania fabuł

swoich produkcji. Znajduje się tam latarnia morska, a także niewielka kawiarnia.

ZAWSZE STRATEGICZNY

Rejs cieśniną da nam sposobność poznania tej historycznej metropolii. Na przystani Eminönü zewsząd jesteśmy atakowani głośnymi okrzykami „Bosfor, Bosfor, Bosfor!” zachęcającymi do wejścia na pokład jednego ze statków wycieczkowych. W zależności od opcji, którą wybierzemy, możemy spędzić na wodzie albo godzinę, albo nawet i pół dnia, z przystankiem w jednej z wiosek rybackich położonych nieopodal granicy Bosforu z Morzem Czarnym.

CIASNO NAD CIEŚNINĄ
Gęsta zabudowa na stokach cieśniny w północnej części Sztambułu. Dom z widokiem na Bosfor to luksus i przywilej.



ZGUBIŁA KONSTANTYNOPOL
Ruiny osmańskiej fortecy Rumeli, zbudowanej na europejskim brzegu Bosforu w jego najwęższym miejscu. Twierdza, która odcinała Konstantynopol od Morza Czarnego, walnie przyczyniła się do jego zdobycia.

Nie sposób wymienić wszystkich ciekawych obiektów, które będziemy mijać podczas takiej podróży. Jeszcze przed odbiciem od brzegu możemy podziwiać monumentalny meczet Sulejmana Wspaniałego, gigantyczne dzieło słynnego architekta Mimar Sinana usytuowane na wzgórzu starego miasta. Po drugiej stronie Złotego Rogu, przepięknej bosforskiej zatoki, roztacza się widok na dzielnicę Beyoğlu, dawniej Galatę, z 63-metrową wieżą wzniesioną w XIV w. przez genueńczyków. Płynąc na północ, minimy po lewej stronie pałac Dolmabahçe, wzorowany na Luwrze i pałacu Buckingham – imponującą rezydencję, do której w połowie XIX w. przeprowadził się dwór sułtana. Podczas dalszej podróży uwagę powinien zwrócić niewielki, zbudowany w stylu neobarokowym, meczet Ortaköy. Zarówno

sam meczet, jak i otaczająca go dzielnica są niezwykle urokliwe. Przyciągają wielu turystów, ale i miejscowych, którzy szukają spokoju nad wodą.

Parę kilometrów dalej na północ, po europejskiej części wybrzeża, dopłyniemy do malowniczo położonych na stoku ruin twierdzy Rumeli. Decyzję o jej budowie wydał w 1451 r. sułtan Mehmed II jako przygotowanie do zdobycia Konstantynopola. Powstała ona naprzeciwko fortecy Anadolu, istniejącej już od kilkudziesięciu lat po stronie azjatyckiej. Miejsce wybudowania obu fortyfikacji nie było przypadkowe. To najwęższa część Bosforu – około 700 m. Położone w takim miejscu twierdze pozwoliły Turkom kontrolować ruch przez cieśninę i odcinały Konstantynopol od pomocy mogącej nadejść od strony Morza Czarnego.



FOT. PAWEŁ SZULC

Po azjatyckiej stronie brzegu, na całej niemal długości, możemy podziwiać setki rezydencji, willi, zabytkowych i nowoczesnych domów, również mnóstwo przystani przeznaczonych przede wszystkim dla łodzi motorowych (według zamożnych stambulczyków łódź motorowa dodaje większego prestiżu niż najładniejszy i najbardziej ekskluzywny jacht). Dom z widokiem na Bosfor to przywilej. Stoki wznoszące się po obu stronach cieśniny stwarzają idealne warunki do powstawania gęstej zabudowy. Byle tylko okno wychodziło na wodę. A rezydencja nad samym brzegiem to już luksus, na który stać milionerów. Przy odrobinie szczęścia podczas rejsu będą nam towarzyszyć delfiny, które pojawiają się w licznych grupach przy przepływających statkach i wywołują entuzjastyczne reakcje turystów.

Aktualnie istnieją trzy przeprawy przez Bosfor. W 1973 r. oddano do użytku most Bosfor (stambulczycy nazywają go po prostu „pierwszym mostem”). Codziennie, 60 m nad cieśniną, przejeżdża nim sto kilkadziesiąt tysięcy samochodów. Kilkanaście lat później na północ od niego otwarto most Mehmeda II Zdobywcy, natomiast w sierpniu 2016 r. oddano do użytku most Selima I Groźnego. Zbudowano go niemal na granicy Bosforu

z Morzem Czarnym. Jest to most drogowo-kolejowy o długości 2164 m. Wysokość pylonów wynosi 322 m, a długość przęsła – 1408 m. Wymiary te powodują, że jest to najdłuższy wiszący most na świecie przeznaczony dla ruchu kolejowego.

Infrastrukturę na Bosforze uzupełniają dwa tunele. Najgłębszy na świecie podmorski tunel kolejowy, wydrążony na głębokości 56 m, pozwala przepłynąć się z Europy do Azji w ciągu dosłownie paru minut. W grudniu 2016 r. otwarto też dla ruchu samochodowego podmorski tunel Eurazja. W ciągu najbliższych paru lat mają się pojawić kolejne: dla rowerzystów, pieszych, a także wielki, trypoziomowy tunel, który będzie kluczowym połączeniem komunikacyjnym między stambulskimi lotniskami, liniami metra oraz mostami.

Władze tureckie mają także inne śmiałe pomysły. By zapewnić bezpieczną żeglugę na Bosforze, już w 2011 r. ogłoszono plan wybudowania kanału łączącego Morze Czarne i Marmara. Miałby on powstać na zachód od Stambułu, mieć 45 km długości, 150 m szerokości i głębokość 25 m. Jeżeli dojdzie do finalizacji tego projektu, zakładanego na 2023 r., to takie przedsięwzięcie będzie na pewno porównywalne z Kanałem Sueskim czy Panamskim. ○

NAJDŁUŻSZY NA ŚWIECIE
Drogowo-kolejowy most Selima I Groźnego, leżący niemal na granicy Bosforu z Morzem Czarnym, jest najdłuższym (2164 m) wiszącym mostem kolejowym na świecie.



Paweł Szulc

Doktor historii, zawodowo zajmuje się historią najnowszej Polski. W wolnych chwilach zagłębia się w przeszłości Bliskiego i Środkowego Wschodu, stara się poznać związki Polaków z tym regionem. Jest miłośnikiem podróży, zapalonym scrabblistą i smakoszem kuchni orientальной.



PODRÓŻNOŚCI
Magdalena Zelazowska

KANTATA O KAWIE

Prędzej czy później nadchodzi w życiu taki moment, kiedy wakacje przestają służyć głównie do tego, żeby się wyspać.

FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

Oto paradoks czasu. Zanim zasiliły szeregi etatowych pracowników, czyli w szkole i na studiach, mamy mniej zajęć, mimo to w dni wolne śpimy do oporu jak po ciężkiej harówce. Wszystko zmienia się po kilku latach pełnowymiarowej pracy. Kiedy dzień w dzień tkwimy w czterech ścianach biura, na urlopie stajemy przed dylematem: zalegać w łóżku do południa czy wreszcie trochę pożyć? Ja przeważnie wybieram to drugie. W podróży często nastawiam budzik, choć ciało krzyczy „nie!”. Żeby je udobruchać, wyruszam na poszukiwanie kawy.

Być może się starzeję, ale niedawno odkryłam, że mało jest w życiu przyjemności, które mogą się równać ze wstaniem przed wszystkimi, łącznie z towarzyszami podróży. Wczesny poranek to pora dla kotów albo ludzi mających podobne do nich upodobania, czyli tych, którzy nie lubią tłumów. Świt szczególnie dobrze smakuje w mieście. Można wtedy udawać, że całe należy do nas. Ulice jeszcze puste, echo

kroków łaskocze uśpione budynki, wścibskie słońce nie wszędzie jeszcze wetknęło nos. W szpalerze pozaciąganych rolet na pewno znajdzie się jakaś luka. Kawiarnia.

Poranna wyprawa w poszukiwaniu kawy tylko pozornie jest samotna. W ten napój po prostu wpisane jest towarzystwo. W tym samym czasie niezależnie od stref czasowych parują miliony filiżanek, które pracują na globalny wynik 400 miliardów filiżanek rocznie spożywanych przez ludzkość. Nie ma sensu licytować się, kto pije więcej, bo nasza drużyna znów mogłaby wypaść blade (statystyczny Polak pije co roku 2,5 kg kawy, a Fin – 12 kg). Po co też wnikać w narodowe gusta (na polskim rynku prym wiedzie kawa mielona). Kompania kawoszy nie zna podziałów. Nazwa drugiego najpopularniejszego napoju świata niemal w każdym kraju brzmi podobnie, co gwarantuje spragnionym zrozumienie nawet w najdziwniejszych ostępach. Uniwersalny język kawy łączy jej smakoszy nie tylko w przestrzeni, ale też w czasie.

Odkrycie dobrodziejstw kawy przypisuje się kozom. Legenda głosi, że ok. 850 r. n.e. w Etiopii do przeora miejscowego zakonu zgłosił się pasterz. Przyniósł ze sobą ziarna, po których zjedzeniu jego kozy zdawały się dziwnie pobudzone. Mnisi popróbowali surowych ziaren, ale zde gustowani, wyrzucili je do ognia. Po kilku chwilach z paleniska rozniósł się wspaniały aromat, a mnisi przygotowali pierwszy w historii kawowy napar, który znacznie podniósł ich efektywność podczas wieczornych modlitw.

Do Europy kawa trafiła na początku XVII w. za sprawą kupców weneckich, którzy podróżowali na Bliski Wschód. Na początku jednak nie zrobiła furory. W 1670 r. Jan Andrzej Morsztyn pisał o niej tak:

„W Malcieśmy, pomnę, kosztowali kawy,
Trunku dla baszów, Murata, Mustafy
I co jest Turków, ale tak szkaradny
Napój, jak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza na zęby,
Niech chrześcijańskiej nie plugawi gęby!”

Nic dziwnego, że pierwsza warszawska kawiarnia, która otworzyła podwoje w 1724 r. za Żelazną Bramą, splajtowała. W Wielkiej Brytanii panie wystąpiły z „Petycją kobiet przeciw kawie”, obwiniając kawiarnie o ciągłą nieobecność małżonków w domu, a nawet ich impotencję. Być może oburzenie Brytyjek miało coś wspólnego z tym, że same nie miały do kawiarni wstępu.

Kawowe nastroje w Europie stopniowo uległy poprawie. Na ulicach XVIII-wiecznego Paryża rozbrzmiewały słowa jakobińskiej piosenki, o przekazie zgoła innym niż u Morsztyna: „kawa serca gasi bóle i narządy pieści czule.”

Kawiarnie stały się nieodzownym punktem każdego szanującego się miasta. W tamtych czasach na ulicach zamiast neonu z filiżanką musiałabym szukać szyldu w kształcie tureckiego tygielka lub sułtańskiej głowy.

W różnych miastach Europy cierpliwie poluję na stare kawiarnie. Od sterylnych sieciówek wolę przytulne zaułki, gdzie filiżanki wesoło brzęczą o spodki, a mury opowiadają o starych czasach. Moją ulubioną jest chyba lisbońska A Brasileira. Ostatnio szczególnie udane łowy przydarzyły mi się też w Lipsku. Mieszkał tam jeden z najślawniejszych promotorów kawy – Jan Sebastian Bach. Na jej cześć napisał „Kantatę o kawie”, sławiącą jej słodycz, rzekomo większą niż tysiąc pocałunków. Sam był stałym bywalcem Café Zimmermann przy ulicy św. Katarzyny. Niewiele później Johann Wolfgang von Goethe bywał w Piwnicy Auerbacha, w której umieścił akcję swojego „Fausta”. Dziś mieści się tutaj kawiarnia Mephisto. Neon w eleganckim pasażu Mädler kusi, ale i grozi. Śpieszę donieść, że serwowany tu napar na szczęście nie jest diabelski.

Innego ranka wybrałam kawiarnię Riquet. Skuszona wspaniałym wejściem ozdobionym przez dwa indyjskie słonie, mimo zimna i mżawki wytrwale czekałam, aż punktualnie o 9.00 otworzą się pozłacane drzwi. Wraz z biciem dzwonu na kościelnej wieży pchnęłam klamkę w kształcie litery R. Instykt mnie nie zawiódł. W XIX w. powstał tu sklep kolonialny, sprzedający kawę, herbatę, kakao i przyprawy. W środku ciężki kontuar z ciemnego drewna, błyszcząca stara kasa, bibeloty art déco. I kilkanaście pustych stolików do wyboru. W ciągu dnia trudno tu o wolne miejsce, ale przecież



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand



R E K L A M A

rano całe miasto jest moje. Zająłam, jak zawsze, stolik przy oknie. I mogłabym przysiąc, że przy innych widziałam panów we frakach i panie w sukniach.

Na co dzień niestety nie pijam kawy tak stylowo. Czasem muszę zrezygnować z filiżanki, a to nie jest ani przyjemne, ani ekologiczne. Z bezpłatnej londyńskiej gazety, którą czytałam do kawy, dowiedziałam się, że w Wielkiej Brytanii co roku do śmieci trafiają 3 mld kubków po kawie. Kolorowy nadruk i plastikowa przykrywka sprawiają, że bardzo długo się rozkładają, a tylko 1 proc. z nich jest poddawanych recyklingowi. Naukowcy Edward Kosior i Jon Mitchell znaleźli rozwiązanie tego problemu. Ze zużytych tekturowych

kubków wyprodukowali tworzywo o dużej wytrzymałości. Można z niego nawet wytwarzać meble. To byłoby coś dla mnie. Mogłabym na przykład wyspać się w kawowym łóżku. To dopiero fascynujące pole dla nauki. ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliźszych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl

W PERU TAŃCZA LUDZIE I KONIE

Paulina Hinz





W Trujillo na północy Peru powodów do zachwytu nie brakuje. Są barwne fasady budynków przy głównym placu, utalentowani tancerze marinery i konie, które... tańczą. Caballos de paso to niezwykła rasa z kilkusetletnią historią, a pokaz z udziałem koni i marineras to jedyne takie widowisko.

Wspaniałe, silnie zbudowane konie z gracją przemierzają wybieg w równym szeregu, jeden obok drugiego. Twardymi kopytami akcentują muzykę. Dla widzów natychmiast staje się jasne, dlaczego peruwiańskie *caballos de paso* są uważane za tak wyjątkową rasę. Ich ruchy są synchroniczne i precyzyjne, a tułów nie zmienia poziomu, przez co zwierzęta sprawiają wrażenie płynących po trawie. Bujne grzywy falują delikatnie, ciężkie ogony pozostają prawie nieruchome.

Wśród jeźdźców są trzej mężczyźni i jedna kobieta, którą oprócz stroju wyróżnia czerwony kwiat przypięty do słomkowego kapelusza. Wszyscy poza nią zdejmują nakrycia głowy z szerokimi rondami i wymachując nimi, witają się z publicznością.

CENNY PODARUNEK KONKWISTY

Historia niezwykłych peruwiańskich koni liczy ponad 400 lat. To wówczas, dokładnie

BOSA MARINERA

Niezwykle energiczny taniec *marinera norteña* wymaga od obojga tancerzy wielu godzin ćwiczeń, a od kobiet dodatkowo hartowania stóp poprzez chodzenie boso.





w 1531 r., zaczęły przybywać do Ameryki Południowej na statkach hiszpańskiej konkwisty, której przewodził Francisco Pizarro. Przez wieki konie wykorzystywano głównie do transportu po rozległych surowych terenach Peru. Specyficzny boczny chód, zwany *passo llano*, umożliwiał im łatwiejsze pokonywanie znacznych odległości między hacjendami. Innochód, polegający na naprzemiennym unoszeniu przez zwierzę obu kończyn po lewej, a następnie po prawej stronie ciała, nie wymagał od jeźdźców angielzowania. Bez potrzeby ciągłego unoszenia się i opadania w czasie jazdy kłusem mogli oni znacznie dłużej wytrzymać w siodle.

W latach 60. znaczna część koni została wyeksportowana do Stanów Zjednoczonych i Ameryki Środkowej. Ostre reformy rolne uniemożliwiały Peruwiańczykom dalszą hodowlę, i los koni w tym kraju stał się niepewny. Dopiero na początku lat 90. tradycja zaczęła powoli odżywać. Odtąd pokazy stały się główną domeną peruwiańskich *paso*. W Trujillo

można je zobaczyć przez cały rok, siedem dni w tygodniu.

ZWINNE KOPYTA I BOSE STOPY

Koń wiruje wokół kapelusza leżącego na trawie pośrodku placu. Zatacza koła w bliskiej odległości i zręcznie omija go kopytami. W powietrzu unoszą się tumany brunatnego kurzu. Następnie jeden z mężczyzn wręcza jeźdźcowi w czarnej pelerynie kieliszek z wodą i koń rusza dalej. Kiedy zwierzę przemierza wybieg, woda w kieliszku prawie nie drga. To właśnie dzięki specyficznemu chodowi konia, który niegdyś tak bardzo ułatwiał jeźdźcom podróżowanie po kraju.

Konie ustępują miejsca tancerzom w strojach z regionu. Przez kolejnych dziesięć minut sceną zawiadnie *marinera norteña*. Ten peruwiański taniec wywodzi się z północnych obszarów kraju, a Trujillo jest obecnie uznawane za jego stolicę. Co roku w tym mieście

PIŁEŚ? NIE JEDŹ!

Tułów konia *caballo de paso* nie zmienia położenia w ruchu. Dlatego woda (tancerze nigdy nie piją alkoholu) pozostanie w kieliszku, kiedy jeździec będzie z nim okrązał wybieg.



NOGA W NOGĘ

Kroki konia i tancerki są zsynchronizowane. Kopyta unoszone rytmicznie przez zwierzę przypominają kroki mężczyzny, który chwilę wcześniej tańczył w tym miejscu.

FOT. PAULINA HINZ

odbywa się najważniejszy konkurs, w którym biorą udział zespoły taneczne z różnych zakątków Peru.

Dwoje tancerzy, mężczyzna i kobieta, trzyma w dłoniach białe chustki – podstawowy rekwizyt w czasie występu. Z chustkami nie rozstają się przez całą długość tańca, podkreślając nimi zamaszyste ruchy. Kobieta ma

bose stopy. Podczas gdy mężczyźni tańczą w obuwiu, dla kobiet jest ono absolutnie niedopuszczalne. Tancerki naśladują w ten sposób swoje poprzedniczki, które na peruwiańskiej wsi tańczyły tak już w XIX w.

Kobiety szczerzą się każdym stwardnieniem i zgrubieniem na podszewkach stóp, świadczącym o ich doświadczeniu i poświęceniu dla marinerów. Wiele z nich wyrobiło w sobie nawyk chodzenia boso na co dzień, aby przez cały czas zwiększać wytrzymałość stóp, która przełoży się na jakość tańca. Mężczyźni co prawda mogą nosić buty, ale od nich również oczekuje się pewnego poświęcenia. Peruwiański taniec wymaga doskonałej kondycji i sprawności fizycznej, o którą muszą dbać nieustannie.

Niezwykle szybkimi i skomplikowanymi krokami tancerze oddalają się od siebie i przybliżają na przemian. Opowiadają swoimi



FOT. PAULINA HINZ

JESTEM MARINERA!

Najmłodszy członek zespołu i kolejne pokolenie *marineras*.



FOT. PAULINA HINZ

ruchami historię zalotów dwojga zakochanych ludzi, chociaż obecna nazwa tańca ma mało romantyczną genezę. Znany wcześniej jako *zamacueca*, taniec zmienił nazwę na *marinera*, kiedy Peru w 1879 r. przystąpiło do wojny z Chile. Powodem była chęć uczczenia peruwiańskiej marynarki wojennej – *Marina de Guerra del Peru*.

WSZYSTKIE SKARBY TRUJILLO

Marinera tańczona w towarzystwie *caballo de paso* to kolejny punkt programu. Masywny koń prowadzony przez jeźdźca zastępuje drobnego tancerza. Kiedy jednak zatacza koła wokół tancerki, oddala się i przybliża w takt muzyki, ruchy jego kopyt zaskakująco przypominają ruchy mężczyzny, który tańczył przed zachwyconą widownią chwilę wcześniej.

Na koniec ponownie przychodzi kolej na czterech jeźdźców, którzy jeden za drugim pojawiają się na arenie. Pierwszy z nich dumnie trzyma peruwiańską flagę. Tak jak *marinera* jest uważana za narodowy taniec Peru, tak też

rasa koni *paso* jest uznawana za jego niezwykle istotne dziedzictwo kulturowe. W 1992 r. została ona nawet w ramach specjalnej uchwały objęta ochroną przez peruwiański rząd.

Flagę przejmuje młody chłopiec, a do jeźdźców i koni dołączają tancerze. Zbliża się wielki finał. Po chwili tańczą już wszystkie ludzkie nogi i końskie kopyta. W tle słychać utwór muzyczny, w którym kobieta śpiewa o pięknym Peru, wspomina Machu Picchu, linie w Nazca i inne miejsca, z których mieszkańcy kraju są dumni. Tancerze i jeźdźcy ustawiają się w finałowej formacji, dziękują widzom i zapraszają do wspólnych zdjęć.

Podczas wizyty w Trujillo z łatwością można zagospodarować wiele dni samym zwiedzaniem miasta. Można podziwiać unikatowe żeliwne kraty w oknach kolorowych budynków i delektować się lokalną kuchnią. Jednak żadna wizyta nie powinna się odbyć bez odkrycia największych jego skarbów. W stolicy marynery i kolebce *caballos de paso* to tańczący ludzie i konie niezmiennie są główną atrakcją. ○

INNOCHÓD INACZEJ

Płynne ruchy koni niegdyś ułatwiały jeźdźcom pokonywanie dużych odległości. Dzisiaj ich majestatyczną precyzję można podziwiać głównie na specjalnych pokazach.



Paulina Hinz

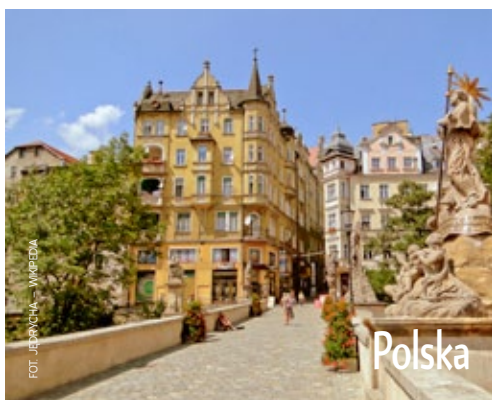
Odwiedziła 30 krajów, niektóre wielokrotnie. Mieszkała w Indiach i we Francji. Zwolenniczka pozytywnego myślenia. Czasem podróżniczka, czasem turystka, zawsze ciekawa nowych miejsc, ludzi i zwyczajów. Autorka anglojęzycznego bloga MyTravelStock.com oraz portalu WhatToDoInGdansk.com.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Trochę łódka, trochę pieszo

Peloponez, a zwłaszcza jego środkowy „palec” – półwysep Mani, to najmniej popularny wśród turystów region Grecji. A szkoda, bo to niezwykle piękne i zagadkowe miejsce. Kto choć raz tędy wędrował, wie, w czym rzecz. Kamienne wieże, urwiste klify, odludny, dziki, surowy krajobraz. Mani ma wiele twarzy i zaskakuje na każdym kroku. Zgodnie z wierzeniami to tutaj znajduje się jedno z najsłynniejszych wejść do Hadesu.

Wieki temu pod gigantyczną wapienną skałą obok wioski Pirgos Dirou woda morska wydrążyła przepastne jaskinie. Dziś są w większości pokryte krystalicznymi jeziorami i zachwycają bogactwem oraz różnorodnością form naciekowych. Artystycznie podświetlone stalaktyty i stalagmity sprawiają iście baśniowe wrażenie. Podziemna trasa turystyczna liczy prawie dwa kilometry i częściowo pokonuje się ją w łódkach, a częściowo pieszo. Choć latem na zewnątrz jest bardzo gorąco, temperatura powietrza i wody w grotach jest niska, o czym naprawdę warto pamiętać.



36°37'N 22°23'E

Pirgos Dirou leży w południowej części Peloponezu, na zachodnim wybrzeżu półwyspu Mani, 11 km w kierunku południowym od Areópolis.



FOT. KOPR2 - WIKIPEDIA

Włochy Trentino

Góry słońca



FOT. CARLO BARON

Śródziemnomorskie wakacje wśród... ośnieżonych szczytów? To możliwe, pod warunkiem że będzie to urlop w miejscowościach narciarskich rejonu Trentino. U podnóża Dolomitów spotykają się zimne, alpejskie wiatry i ciepłe, śródziemnomorskie podmuchy. Z uwagi na swe położenie Trentino stanowi geograficzny i kulturowy pomost pomiędzy Europą Północną a Półwyspem Apenińskim. Od dawna ludzie w tych stronach noszą w sobie odcisk śródziemnomorskiej historii i kultury. Bliskość basenu Morza Śródziemnego ogrzewa nie tylko klimat – łagodzi charaktery i objawia się na każdym kroku, w kuchni, kulturze i krajobrazie. Tutaj słońce świeci jaśniej i częściej. Aż trzy czwarte dni w roku są słoneczne. W Alpach trudno o drugi region z podobną statystyką. Dolomity powinno się nazywać „górami słońca”.

Skrzący się w jego promieniach zimowy krajobraz upaja, wyzwala pokłady energii, napełnia lekkością. Czy można chcieć więcej?



FOT. MARCO TROVATI

www.visitrentino.info/pl

Polska Kłodzko

W dawnych czasach przez Kłodzko przechodził Bursztynowy Szlak, który łączył Morze Bałtyckie z zachodnią i południową Europą. Pierwszy gród postawili tu czescy Sławnikowice i już na przełomie X i XI w. toczyły się o niego walki pomiędzy polskimi Piastami i czeskimi Przemyslidami. Do dziś miasto zachowało średniowieczny układ architektoniczny, chociaż wypełniają je budowle z różnych epok. Góruje nad nim imponująca twierdza, jeden z najlepszych w Polsce przykładów nowożytniej architektury obronnej. Zachwycają kościół Wniebowzięcia NMP, budowany od XIV do XVI w., XIX-wieczny ratusz oraz gotycki most św. Jana, który łączy obie części miasta. Porównywany jest on do praskiego mostu Karola – wprawdzie ten z Kłodzka jest znacznie mniejszy, ale za to sporo starszy, jego budowę rozpoczęto w 1281 r. Obecnie zdobi go sześć barokowych figur. Most na Nysie Kłodzkiej przetrwał przeróżne wiry historii w dobrym stanie



FOT. JACEK HALCZKI – WARSZAWA

i – jak twierdzą znawcy tematu – jest to zasługa jaj. Z ich białek bowiem, a także z wapna, powstała zaprawa, która łączy kamienne przęsła.



50°26'N 16°39'E

Kłodzko leży w północno-wschodniej części Kotliny Kłodzkiej, 90 km na południe od Wrocławia.



FOT. JACEK HALCZKI – WARSZAWA

Rumunia Sybin

Leżący w Siedmiogrodzie Sybin został założony w 1190 r. Od 2007 r., kiedy miasto było Europejską Stolicą Kultury, turystów kuszą coraz ciekawsza oferta kulturalna i liczne imprezy.

zabytki, bardzo przyjaznych mieszkańców oraz wyjątkowe jedzenie, którego można spróbować w różnych restauracjach, m.in. w piwnicach przy ulicy Papiu Ilarian.



45°48'N 24°07'E

Miasto jest oddalone o ok. 280 km na północny zachód od Bukaresztu.



FOT. SHUTTERSTOCK

Sybin może się także pochwalić wyjątkowym położeniem – w sercu Rumunii, u stóp Gór Fogaraskich. Znajdziemy w nim przepiękne



FOT. JUNG BEANUDOVIV – SHUTTERSTOCK

Hiszpania Los Cancajos

Miłośnicy plażowania i nurkowania, których zniechęcają popularne kurorty, świetnie odnajdą się w Los Cancajos. To największe turystyczne miasto La Palmy, piątej co do wielkości Wyspy Kanaryjskiej. Jest ona położona ok. 60 km na zachód od Teryfy. Mimo małych rozmiarów to jedna z najbardziej zachwycających w całym archipelagu. Jej największą atrakcją jest wznoszący się na wysokość 2500 m n.p.m. szczyt Roque de los Muchachos, gdzie znajduje się obserwatorium astronomiczne. La Palma to jedno z lepszych miejsc w Europie, gdzie można podziwiać pięknie rozgwieżdżone niebo.



28°38'N 17°45'W

Los Cancajos znajduje się na kanaryjskiej wyspie La Palma, pomiędzy stolicą wyspy, Santa Cruz de la Palma a lotniskiem.



Bułgaria Kopriwstica

Kopriwstica leży w niewielkiej dolinie otoczonej ze wszystkich stron zalesionymi wzgórzami. Dużo tu starych, dobrze zachowanych domków, między którymi przeciskają się wąskie, kryte kocimi łbami uliczki. Godną polecenia jest sieć domów z okresu bułgarskiego odrodzenia narodowego – zamieniono je w muzea, zachowano wystrój wnętrz

oraz autentyczne eksponaty z epoki. Warto też odwiedzić zbudowaną w 1817 r., pomalowaną na błękitno, cerkiew Zaśnięcia Bogurodzicy, wewnątrz której uwagę przykuwają: cenny ikostas (1821 r.), dzieło mistrzów szkoły triawneńskiej, oraz ikony namalowane w latach 1837–38 przez artystów odrodzeniowych (m.in. Zachariego Zografa).



42°38'N 24°21'E

Kopriwstica leży w środkowo-zachodniej Bułgarii, 111 km na wschód od Sofii.



Serbia Nowy Sad

Nowy Sad to wielokulturowe miasto położone nad Dunajem. Mieszkają tu Rusini i Węgrzy, roi się od studentów, a z roku na rok przybywa turystów. Mieszkańcy są dumni z przepięknej architektury miasta – zabytkowa starówka z imponującym ratuszem na placu Wolności oraz górująca nad miastem forteca Petrovaradin są obiektami, które trzeba zobaczyć. Dużą popularnością cieszy się także pobliski Park Narodowy Fruška Gora oraz naddunajskie plaże. Na wielbicieli muzyki każdego roku w lipcu czeka nie lada gratka – w mieście odbywa się Festiwal EXIT, jedna z największych imprez muzycznych w Europie.



45°15'N 19°51'E

Nowy Sad jest położony 100 km na północny zachód od Belgradu.



Małgorzata Furgała

PODRÓŻ W KRATĘ



Mysł o szkockich wakacjach dojrzewała długo. Przez kilka lat przegrywała ze słonecznym południem Europy i dziką Azją. Jednak co się odwlecze... I tak oto, wbrew prognozom pogody, wyruszam odkrywać krainę zamków, wrzosowisk i gór.

KSIĄŻĘCE OGRODY

Edynburg, widok
z pagórka The Mound
na wschodnią część
Princes Street Gardens.



ROBOTA DLA SZKOTA

Tradycyjna pracownia krawiecka. Tu z tartanu powstają kilty – narodowy strój szkocki.

TŁOCZNO NA SZAFOCIE

Grassmarket w Edynburgu. Ten uroczy plac był w przeszłości miejscem publicznych egzekucji.

Oczywistością wydaje się ulokowanie bazy wypadowej w Edynburgu. Dostępność tanich połączeń lotniczych sprawia, że co roku, od wczesnej wiosny, miasto zalewa fala turystów. Naiwnie wierzę, że tak mały kraj uda mi się zwiedzić w tydzień, a może zahaczyć jeszcze o dziewicze Hebrydy... Życie, a raczej publiczny transport, z którego jestem zmuszona korzystać, szybko weryfikuje te plany. Tworzę zatem swoje własne *must see*, kieruję się intuicją, a nie wskazówkami przewodnika.

W PTASIM RAJU

Jeśli nie podoba ci się pogoda w Szkocji, poczekaj chwilkę, na pewno się zmieni. Tak mówią stare szkockie powiedzenie i jest w nim sto procent racji. Nim zdążę dotrzeć na dworzec autobusowy w Edynburgu, moknę i schnę kilka razy. Plan jest prosty – zobaczyć klifowe

wybrzeże Morza Północnego. Dotarcie do rezerwatu St Abb's Head zajmuje ponad dwie godziny. Położony na południowy wschód od Edynburga, jest bardziej znany turystom niż mieszkańcom stolicy. Jadę do Coldingham i dalej na piechotę do wioski St Abbs.

Małownicza rybacka osada wydaje się jak wyjęta z XIX-wiecznej powieści. Przepiękne kamienne domy przytulone do skał i ogródeczki w wersji mikro. Na niektórych budynkach wyszukane nazwy lub symbole. Na jednym dostrzegam ceramiczną mozaikę, która przedstawia maskonura. To właśnie dla nich przyjeżdżają tu turyści. Ta część szkockiego wybrzeża słynie z gniazdowania ptaków charakterystycznych dla północnych rejonów.

Nie bacząc na pogodę, wyruszam oznakowaną ścieżką przyrodniczą do klifu widocznego w oddali. Po drodze mijam łodzie rybackie i klatki do połowu homarów. Trochę by schronić się przed deszczem, a trochę z ciekawości

zaglądam do niewielkiego centrum informacyjnego. Można tu zaopatrzyć się w darmowe mapki, kupić widokówki, obejrzeć stare zdjęcia z czasów, kiedy osada rybacka była jeszcze mniejsza. Z tablic dowiaduję się, że ścieżka z Coldingham nad morze była używana przez rybaków już tysiąc lat temu.

Niestety, szanse na podglądanie ptaków w taką pogodę są małe. Niezrażona, zmierzam w stronę klifu. Po drodze mijam niezwykle wymowny pomnik – kobiety i dzieci zwrócone w geście rozpaczy w stronę morza. Monument upamiętnia największą katastrofę w dziejach szkockiego rybołówstwa. 14 października 1881 r. huragan zabrał życie 189 rybakom ze wschodniego wybrzeża.

Morze Północne pachnie wodorostami i solą niczym Bałtyk podczas sztormu. Szumi, jakby przed chwilą rozgniewało Neptuna. Wzrastający na 90 m klif dostarcza niezapomnianych widoków. Soczysta zieleń upstrzona różowymi i fioletowymi kwiatami oraz wszechobecne owce tworzą piękną mozaikę. Wysmagana północnym wiatrem, wracam do Coldingham. Zaskakujące jest to, że wśród wiejskiej małej architektury wciąż można natknąć się na charakterystyczne czerwone budki telefoniczne.

Konieczność oczekiwania na autobus urozmaica wizytę w pubie. W Szkocji to nie tylko miejsca spotkań. To wręcz instytucja. To tu kwitnie życie towarzyskie, tu wymienia się plotki. Piękne fasady kontrastują z zazwyczaj przeciętnie urządzonej wnętrzem. Zdarzają się miejsca wyposażone w stare meble i skórzane fotele. Większość knajpek ma jednak rozklekotane drewniane stoliki i krzesła, każde z innego kompletu. Pub w Coldingham jest właśnie takim typowym miejscem.

Turysta wciąż budzi tu ciekawość i trzeba być przygotowanym na pytania. W nieco wścibskim zachowaniu mieszkańców szkockich wiosek jest jednak tyle uroku, że chętnie angażują się w *small talk*. Mimo wczesnej pory pub jest pełen miejscowych, grają w karty lub domino. Senna atmosfera wioskowych pubów różni je od tętniących życiem i pełnych turystów knajp w centrach miast. W tych drugich często można posłuchać muzyki na żywo. Miejscem o legendarnej już sławie



muzycznych wieczorów jest edynburski Sandy Bells. Wystarczy kupić pintę piwa, by bezpłatnie cały wieczór wsłuchiwać się w piękne szkockie rytmy.

Zachęcona widokami w St Abbs, ruszam do North Berwick. W ciągu lata to piękne miasteczko staje się celem weekendowych wypadów mieszkańców Edynburga. Pełno tu uroczych kawiarenek i sklepików z ręcznie robionymi słodyczami. Zachwalane przez wszystkich mleczone cukierki w typie rodzimej krowki reklamują się z wyszukanych witryn. Turystów przyciąga jednak przede wszystkim architektura i piękna plaża.

Samotne wzniesienie North Berwick Law pozwala zerknąć na okolicę z góry. Stamtąd można dojrzeć trzy duże pola golfowe, z których chętnie korzystają mieszkańcy.

Miasteczko jest

dumne ze wspaniałego Szkockiego Centrum Ptaków Morskich. Tam można się dowiedzieć, co dzieje się na Bass Rock, potężnej skale

SZKOCKA RASA WYŻYNNA

Highland cattle to stara szkocka rasa, mało wybredna i bardzo wytrzymała.



wystającej z morza nieopodal wybrzeża. Jest zbyt cenna, by udostępniać ją turystom. Gniazdujące tam ptaki, między innymi głuptaki i maskonury, lubią spokój. W sezonie jest on zakłócany jedynie przez przepływające obok stateczki. Istny ptasi raj. I raj dla ornitologów.

CAMPBELL WSTĘP WZBRONIONY

Czas porzucić wybrzeże – wszak Szkocja to przede wszystkim góry. Malownicze, ale nienachalne w swej wielkości. Najwyższy szczyt, Ben Nevis, to zaledwie 1344 m n.p.m. Niewielka wysokość zwiodła już niejednego śmiałka. Rokrocznie ten majestatyczny szczyt zbiera swoje śmiertelne żniwo. Zwłaszcza zimą, gdy schodzą lawiny. Stopień trudności dostępnych tras jest zróżnicowany. Na jednym z parkingów, który jest zarazem wspaniałym punktem widokowym na Grampiany, widnieje informacja, że właśnie w tych górach ćwiczyli

w przeszłości i ćwiczą nadal komandosi przygotowani do zadań specjalnych.

O ile szkocka pogoda jest znana z nieprzewidywalności, to w górach pokazuje swe najbardziej kapryśne oblicze. Podróż po Highlands ma jeszcze jeden aspekt – łatwiej spotkać tu jelenie niż człowieka. Spacer po bezdrożach daje możliwość zobaczenia symbolu tych ziem – krów rasy highland. Niewysokie, porośnięte gęstą, długą sierścią w kolorze ognistego brązu niespiesznie przemierzają pastwiska. W przeciwieństwie do nadpobudliwych, głośnych owiec wydają się uosobieniem dobrych manier i elegancji. Można odnieść wrażenie, że prawie świadomie podnoszą łeb ozdobiony potężnymi rogami, by przechodzić mógł je podziwiać.

Wędrowanie po Grampianach wiosną pozwala uniknąć zmyły tej ziemi – małych, boleśnie gryzących meszek. Każdy Szkot wyruszający w góry zaopatruje się w środek odstraszający owady, a jeśli śpi w namiocie – także

RAJ DLA PODGLĄDACZY

North Berwick
to idealne miejsce dla ornitologów. Mogą obserwować ptactwo, które żyje na niezamieszkanym wyspie niedaleko brzegu.



FOT. KATARZYNA ROJEK



POT. SHUTTERSTOCK



POT. SHUTTERSTOCK

moskitierę. Niestety od tego, w jakiej porze roku jest się w górach, zależy też możliwość zobaczenia najpiękniejszego widoku – niezliczonych kilometrów fioletowych wrzosowisk, wiosną zmienionych w suche, ciemne runo. Wystarczy jednak odrobina wyobraźni, by stworzyć obraz ukwieconych wrzosami kopulastych szczytów targanych przez wiatr.

W Highlands są także miejsca, gdzie piękno przyrody spotyka się z bolesną historią tych ziem. Dolina Glen Coe, do której można dotrzeć po wykupieniu jednodniowej wycieczki z Glasgow czy Edynburga, pamięta masakrę, uwiecznioną później w licznych filmach. W 1692 r. kolaborujący z rządem brytyjskim klan Campbellów wymordował górali, którzy ugościli ich w domach. Zgodnie z przekazem historycznym zginęło 38 osób, a wiele musiało się schronić w wyższych partiach gór. Było

to naruszenie odwiecznej tradycji nakazującej góralom gościnność i przyjęcie pod dach każdego przybysza. Do dziś można przed pubami w okolicznych miejscowościach zobaczyć napis: „Campbellom wstęp wzbroniony”...

Majestatyczne turnie zachęcają do wspinaczki, jednak czas zmierzyć się z kolejną legendą – potworem z Loch Ness. Kto wie, jak wyglądałaby mała osada Fort Augustus, gdyby nie dobrotliwa Nessi. Sądząc po liczbie osób, które ją rzekomo widziały albo znały kogoś, kto widział, Nessi jest szalenie nieśmiałym stworem. Nie da się jednak ukryć, że ten komercyjny wymysł każdego roku przyciąga nad brzegi jeziora Loch Ness tysiące turystów.

Szansa na spotkanie potwora jest niewielka, ale na oglądanie cudownych widoków – już stuprocentowa. Loch Ness jest jednym z wielu połodowcowych jezior w Szkocji, z błękitną

WRZOSOWISKO TO NIE WSZYSTKO

**Dolina Glen Coe oraz
Durness, wybrzeże
Morza Północnego.
Dla każdego coś się
znajdzie – trochę gór,
trochę morza...**



FOT. ANITA JANAY - SHUTTERSTOCK

NESSIE, WRÓĆ!

Zamek Urquhart nad Loch Ness – jeziorem, które zamieszkuje legendarny potwór. Niestety, dawno go nikt nie widział.

wodą, w której tafla przeglądają się szczyty. Wiosną jest otulone niczym szalikami żółtymi krzakami żarnowca. Kto znajdzie czas, aby dłużej powędrować wokół długiego na 37 km jeziora, dostrzeże także ruiny zamku Urquhart.

NIEODPARTY CZAR EDIEGO

Czas przyjrzeć się stolicy. Położony na wschodnim wybrzeżu Edynburg od lat konkuruje z leżącym na zachodnim wybrzeżu Glasgow. Tysiące turystów odwiedzających „Ediego” zdają się bezspornie dawać palmę pierwszeństwa temu miastu. Samo jego położenie – na zboczach wygasłych wulkanów – sprawia, że każdy po przylocie rozgląda się wokół.

Od południowego zachodu miasto okalają Pentlands, niewielkie góry, które są punktem wypadowym weekendowych wycieczek mieszkańców stolicy. Niedaleko centrum, tuż obok budynku szkockiego parlamentu, wiedzie szlak spacerowy na Arthur’s Seat. Trudy wspinaczki wynagradza wspaniały widok na miasto i okolice. Można dostrzec wody zatoki Firth of Forth oraz malowniczy pałac Holyrood – oficjalną siedzibę rodziny królewskiej w Edynburgu. Wzniesiony w 1498 r. dla króla Jakuba IV, po licznych renowacjach cieszy się

STARE ZAMCZYSKO

Zamek w Edynburgu to jedna z najpotężniejszych i najstarszych fortec w Wielkiej Brytanii. Zdecydowanie okazałej prezentuje się widziany od dołu.



FOT. ANITA JANAY - SHUTTERSTOCK

podobno dużą sympatią królowej. Tak przynajmniej twierdzi straż ustawiona przy bramie wjazdowej do ogrodów rezydencji.

Usadowanie królewskiego pałacu na końcu głównej alei spacerowej Edynburga sprawia, że tłumy turystów chętnie zaglądną do przy-pałacowego sklepu z pamiątkami. Asortyment różni się bardzo od tego w typowych sklepach z suvenirami. Mało tu przysłowiowej chińszczyzny, wszystko *made in England*. Oczywiście utrzymane w duchu królewsko-książęcym... Herbatka królewska, ciasteczka z wizerunkiem królowej, zdjęcia dzieci Williama i Kate oraz liczna literatura, choćby na temat klejnotów używanych przez królową Elżbietę i nieodżałowaną Lady Di.

Dla mniej wprawionych we wspinaczkę Edynburg ma także coś do zaoferowania – wzgórze Calton Hill. Każdy będzie zaskoczony – spotka tam budowlę niczym ateński panteon. To Pomnik Narodu wzniesiony w XIX w. ku czci poległych w wojnach napoleońskich. Zdziwiał także kolejny pomnik, tzw. Nelson Monument – kształt lunety ma upamiętnić zwycięską bitwę pod Trafalgarem.

Spacer Royal Mile – głównym traktem turystycznym w stronę zamku to uczta dla oczu i uszu. Z wielu knajpek rozbrzmiewa tradycyjna szkocka muzyka, a turyści z zaciękawieniem obserwują grających na dudach, ubranych w tradycyjne stroje. Po drodze w stronę zamku można natknąć się na niesamowitą atrakcję – czynny nieprzerwanie od wielu lat zakład krawiecki szyjący kilty. Schowany w jednej z bocznych uliczek, jest jak perła pośród sztucznej biżuterii. Krawiec, starszy pan, niemalże nie odrywając wzroku znad maszyny do szycia, pozwala obejrzeć wnętrze. Zapach stęchlizny miesza się z zapachem wełny. Zwinięte w bele materiały mają oczywiście wzór w szkocką kratę. Nad każdą belą rozpiska przyporządkowująca poszczególne wzory do klanów. Symbole rodów są również umieszczone w gablocie, na wypadek gdyby ktoś miał wątpliwości. Tradycja, tradycja, tradycja...

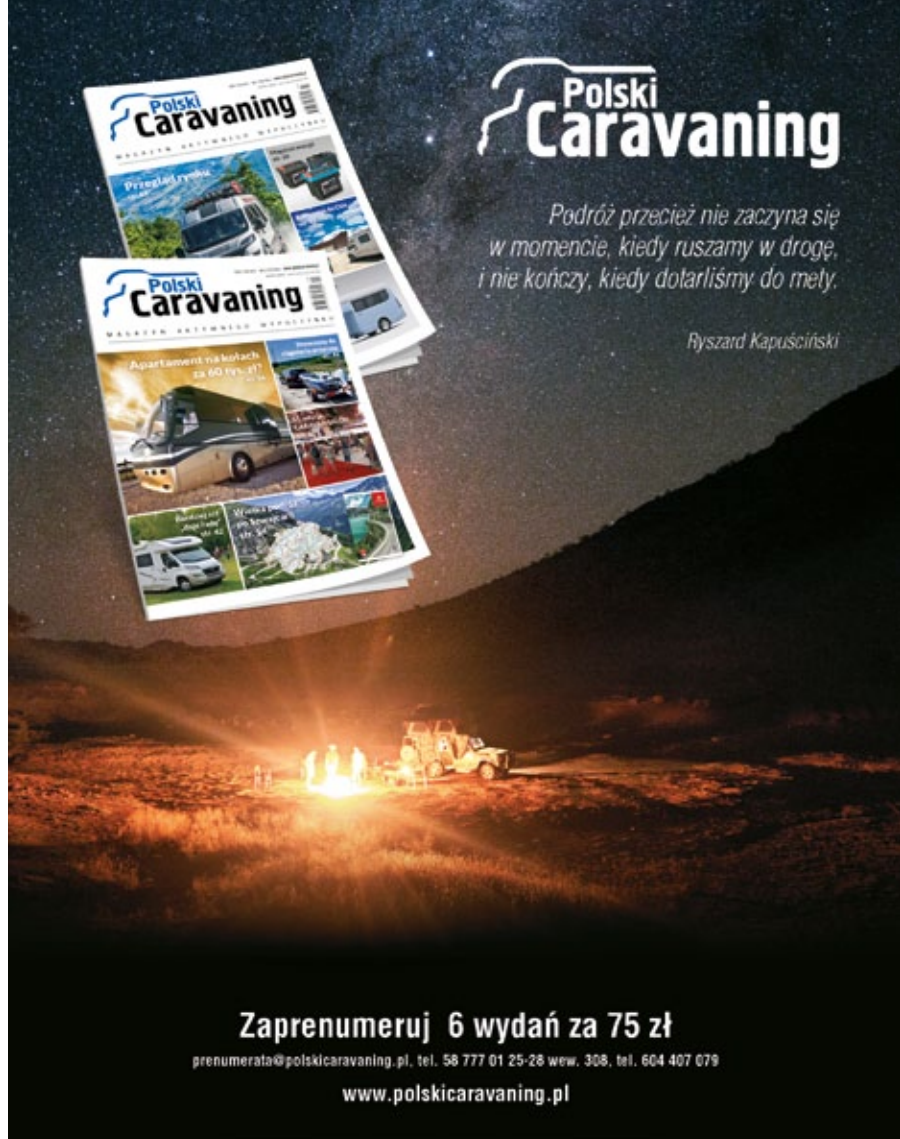
Stąd już niedaleko do edynburskiego zamku. Posadowiony na ogromnej wulkanicznej skale, budzi grozę. Stanowi doskonały przykład warownej rezydencji przebudowywanej przez kolejnych lokatorów. Podobno



Polski Caravanning

Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.

Ryszard Kapuściński



Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

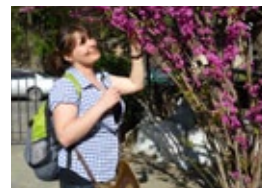
prenumerata@polskicaravanning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravanning.pl

R E K L A M A

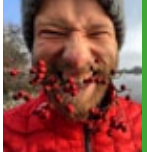
pierwsza budowla istniała tu już w VII w., za panowania króla Edwina. Zamek ten był ulubioną rezydencją szkockich monarchów, w tym Marii Stuart. Jest tu przechowywany Kamień Przeznaczenia – symboliczny fotel koronacyjny, który przez 700 lat był w rękach Anglików. Zamek skrywa także klejnoty koronne i insygnia koronacyjne. Jest tu muzeum wojenne sławiące dokonania szkockich żołnierzy od czasów unii z Anglią po współczesne. Komu mało wrażeń, może obejrzeć dawne więzienie wojskowe.

W Szkocji można podróżować po górach i nad morzem. Zwiedzać senne wioski i tętniące życiem miasta. Nawet pogoda jest tu w kratę. I jedyne, co się nie zmienia, to tradycja, duma narodowa i dbałość o wspólne dziedzictwo, które tutaj są na pierwszym miejscu. ○



Małgorzata Furgala

Absolwentka Wydziału Prawa i Administracji UG, pracownik samorządowy. Gorliwy obrońca praw zwierząt i organizatorka akcji na ich rzecz. Uzależniona od jazdy konnej, pływania i górskich wędrówek. Wolny czas przeznaczana na podróże, które są jej pasją i sposobem na życie.



PŁYWANIE NA DZIKO

To miała być zwykła przechadzka po górach. Z kumplem Fryderykiem podjechaliśmy pod szlak, grzecznie zaparkowaliśmy i ruszyliśmy. Po około dwóch godzinach mieliśmy dotrzeć do jego rodziców, którzy wykańczali swoją chatkę w górach.

Szlak był prosty, o minimalnym nastromieniu, pogoda idealna – słońce, ani jednej chmurki. W pewnym momencie trasa przytuliła się do rzeki i wiodła wzdłuż niej aż na samą górę. Źródło było w górskim jeziorze, na szczycie. Był lipiec, gorąco, ale woda i tak musiała być lodowata. Nawet trochę nas kusiło, żeby wskoczyć, ale zwyciężył zdrowy rozsądek: rozchorujemy się, bo zimno, nie mamy rzeczy na zmianę, ręcznika. Obeszliśmy się smakiem. Spoceni drałowaliśmy pod górę. Tam czekali na nas rodzice Fryderyka z małym obiadem i butelką wina. Usiedliśmy w słońcu, przegryźliśmy kawałek kielbasy i zapiiliśmy go czerwonym. Było nam błogo.

Zebrałiśmy się do powrotu. Zapowiadało się, że będzie tak, jak podczas podejścia: grzecznie, po szlaku, jak wycieczka szkolna. Ale kiedy odeszliśmy kawałek



FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

od domów, zbczyliśmy i zaczęliśmy włożyć się po mokradłach w poszukiwaniu moroszek, pomarańczowoczerwonych malin typowych dla Skandynawii. Moroszki mają cierpki smak, ale są smaczne. Tak się zatraciliśmy w ich szukaniu, że po chwili zgubiliśmy szlak. Szliśmy, gdzie nas oczy poniosą, wpadaliśmy po kostki w mokradła, kluczyliśmy, błędziliśmy. Ale ani razu nie pomyśleliśmy, że robimy coś nie tak, wręcz przeciwnie. Ta droga podobała nam się o wiele bardziej niż poprzednia, czuliśmy się wolni, a może lepiej – beztroszy. Osiągnęliśmy ten cudowny stan, który był czymś normalnym za dzieciaka. Robienie czegoś dla samej przyjemności, bez celu, zadań do wykonania, tak po prostu.

Kiedy w tym nastroju doszliśmy do rzeki, rozsądek przegrał, wygrała beztroska. Wybraliśmy najgłębsze możliwe miejsce – półmetrowy basen, zrzuciliśmy ciuchy i wskoczyliśmy do wody. Była zimna jak pierun, ale nam to nie przeszkadzało. Poczuliśmy się wyzwoleni z dorosłego sposobu myślenia: a co będzie, jeśli... Zachorujemy, to zachorujemy, będziemy mokrzy, to będziemy mokrzy, będzie nam zimno – trudno, będzie nam zimno. Później, kiedy zacząłem się interesować

buddyzmem, okazało się, że robiliśmy dokładnie to, co radzą buddyjscy mistrzowie – żyć w chwili, bo znamy tylko chwilę, nie ma sensu zamartwiać się przyszłością, bo nie wiadomo, jaka ona będzie. A próba wpłynięcia na nią jest jak żucie gumy, żeby wywołać deszcz.

Po wyjściu z wody problem z mokrymi gaciami rozwiązaliśmy tak, że po prostu ich nie założyliśmy, byliśmy w samych spodenkach. Wprawiliśmy się w taki stan luzu, że chcieliśmy więcej. Fryderyk mieszkał nad fiordem i powiedział, że zna kilka fajnych miejsc, gdzie możemy poskakać do wody. Jeździliśmy od miejsca do miejsca i szukaliśmy najlepszej opcji. Najpierw stary, zmurszały pomost w małej wiosce Osa. Cisza jak makiem zasiał, zero ludzi, żadnego hałasu, kilka samochodów. Tutaj kończyła się droga, dalej już były tylko góry. Woda we fiordzie płaska jak stół, już przy brzegu głęboka na dobre kilka metrów, chyba jeszcze zimniejsza niż ta w rzece. Z odległości kilku metrów przez minutę czy dwie obserwowała nas foka. Skakaliśmy seriami, jak opętani. Dwóch trzydziestolatków bawiło się jak dzieci.

Potem Fredo przypomniał sobie, że jest jeszcze lepsza miejscówka, dawna przystań, do której przybijały promy

i mniejsze statki transportowe. Na miejscu okazało się, że z przystani nie zostało wiele, głównie stalowe rusztowanie, ale dzięki niemu mieliśmy wysokość. Pomost w Osa był niziutki, wystawał nie więcej niż dwa metry nad taflę wody. Przystań w najwyższym punkcie miała z pięć. Fredo miał doświadczenie, skakał tutaj w dzieciństwie, dla mnie to był pierwszy raz. On skoczył raz, drugi, ja cały czas się wahałem. Kiedy w końcu oderwałem się od rusztowania, mój mózg zaczął szaleć i gdyby mógł, nakazałby mi się czegoś szybko złapać i nie puszczać. Ale kiedy już wpadłem do wody i wypłynąłem na powierzchnię, poczułem strzał adrenaliny i niesamowitą radość. Po pierwsze dlatego, że przełamałem strach i zrobiłem coś, co nigdy wcześniej mi się nie udało, po drugie dlatego, że ta sekunda lotu była czymś niesamowicie przyjemnym, a po trzecie – znowu byliśmy beztroscy. Nie chodziło nam o nic innego, jak o przyjemność z tego, co robimy. Nie próbowaliśmy się niczego nauczyć, niczego trenować, po prostu cieszyliśmy się chwilą. Na skakaniu i pływaniu spędziliśmy całe popołudnie, wróciliśmy do domu dopiero, kiedy słońce schowało się za górami.

Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że robiliśmy coś, co w Anglii zostało nazwane *wild swimming* (pływanie na dziko) i urosło do społecznego fenomenu. Wydawane są bestsellerowe przewodniki, tworzone mapy najlepszych i najpiękniejszych jezior, rzek i stawów, a największe dzienniki, w tym The Guardian publikują latem listę dziesięciu najlepszych miejscówek do pływania na dziko ze współrzędnymi GPS, np. rzeki Waveney: „To była ulubiona rzeka ojca założyciela ruchu pływania na dziko Rogera Deakina. Uwielbiam tę pętlę o długości dwóch mil wokół Outney Common, gdzie start i meta są w miasteczku Bungay. To jedno z najciekawszych miejsc w Suffolk z niezależnymi sklepami rzemieślniczymi, sprzedawcami antyków i dziwnymi kawiarniami. Wzdłuż rzeki, w pobliżu Bridge Street ciągną się łąki idealne na piknik i szybką kąpiel. W Waveney masz szansę na spotkanie wydr, największą – kiedy poczekaś do zmroku. Wtedy, pod księżycem w pełni, będziesz mógł się wybrać na nocne snorklowe safari”.

W 2006 r. Kate Rew, autorka pierwszej wydanej w Anglii książki o pływaniu na dziko („Wild Swim”) założyła

stowarzyszenie Outdoor Swimming Society. „Pływanie na dziko może być trudne do zdefiniowania i szczerze mówiąc, nie mamy ochoty tego robić” – pisze Rew na stronie www.outdoorswimmingsociety.com. „Możliwe, że jedynym wspólnym dla nas wszystkich mianownikiem jest to, że pływamy pod gołym niebem. Jeśli chodzi o resztę, to jesteśmy stowarzyszeniem, którego członkowie lubią różne rzeczy: pływać w jeziorach i kąpieliskach, w słonej i słodkiej wodzie, w zimnej i oczywiście – cholernie zimnej! Pływanie na dziko daje nam tyle przyjemności, ile daje oglądanie dobrej sztuki, a w naszych szeregach są poeci i rozjemcy, sprinterzy i guzdrały. Niektórzy pływają w piankach, inni nago. Niektórzy są jak delfiny, inni jak szczupaki, żaby albo łabędzie. Nie uważamy, żeby istniał dobry albo zły sposób na pływanie, po prostu chodzi nam o to, żebyś wskoczył do wody”.

Dziesięć lat temu, kiedy Rew zaczynała mówić o pływaniu na dziko, spotykała się z tym samym nastawieniem, z którym ja spotykam się w Polsce: rzeki są brudne i niebezpieczne. Kiedy opowiadam ludziom, że pływałem w Wiśle, w tej części, która płynie przez Warszawę, na ich twarzach pojawia się wyraz zniesmaczenia połączony z zaskoczeniem. W sumie ich rozumiem, sam tak reagowałem, dopóki nie spróbowałem. Od tego czasu ciągnie mnie każda rzeka, w której nie pływają zdechłe ryby i butelki po piwie. Wolę bezpośrednio doświadczać kontaktu z wodą niż siedzieć w kajaku i wpadać w panikę, kiedy do środka wleci mi kilka kropeł.

W tym, jak Kate pisze o pływaniu na dziko, widać, że nie chodzi jej po prostu o to, żeby zanurzyć się w wodzie w gorący dzień, ale o coś więcej. O sposób na życie. Widać to szczególnie w manifestacji, który opublikowała na stronach oss: „Wierzmy, że pływanie powiększa i celebryje piękno każdego dnia. Wierzmy w dzielenie się radością i przygodą z pływania. Wierzmy, że każdy ma prawo pływać pod gołym niebem. Wierzmy w wolny dostęp do rzek i kąpielisk. Wierzmy, że czysta woda w naszych rzekach i jeziorach jest fundamentalnym prawem człowieka. Z przyjemnością bierzemy na siebie odpowiedzialność za efekty kąpieli w chłodnych i lodowatych wodach. Obiecujemy rozbrajać się i wskoczyć do wody przy każdej nadarzącej się okazji”.

Czystość rzek przestała być już dla mnie problemem. Po pierwsze można to łatwo sprawdzić w internecie, po drugie mamy coraz więcej oczyszczalni ścieków, więc wody nie są w tak fatalnym stanie, jak dziesięć lat temu. Jedynie, o co bym się obawiał, to o własne bezpieczeństwo. Pływanie na dziko to jednak nie jest pluskanie się w basenie. Trzeba wziąć pod uwagę prądy – morskie i rzeczne, nagłe zmiany głębokości, podwodne przeszkody w postaci kamieni czy powalonych drzew, fale na morzu, jazy, tamy, warunki pogodowe itp. Miejsce bezpieczne latem, przy niskim stanie wody, niekoniecznie musi być bezpieczne jesienią czy wiosną. Rzeki, jeziora, staw i morze są żywymi organizmami, które ciągle się zmieniają.

Poza świadomością własnych umiejętności i sprawdzeniem kąpieliska warto też pływać w grupie, w jaskrawym czepku, powoli wchodzić do zimnej wody, a poza sezonem podnosić swoje umiejętności na basenie; na dłuższe dystanse wybierać się z łodzią w ramach ubezpieczenia, a przede wszystkim nie pić alkoholu przed wejściem do wody. Szczerze mówiąc, nie widzę powodu. Pływanie na dziko jest na tyle genialne, że nie potrzebuje żadnych wspomagaczy.

Mikrowyprawę odbyłem w Norwegii, ale miejsce nie ma tu znaczenia. Chodzi o ideę, którą można zrealizować praktycznie wszędzie. Górskie rzeki, np. w Beskidzie Żywieckim, jeziora albo stawy w okolicach miast idealnie się do tego nadają. Trzeba tylko pamiętać, żeby zachować ostrożność. ◉

Informacje praktyczne:

- Miejsce: dowolna dzika rzeka, jezioro, staw.
- Czas: 3–5 h.
- Co zabrać: ręcznik, kąpielówki, jedzenie i picie.
- Koszty: brak.
- Poziom trudności: umiarkowany.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



WIELKI KRAJ GOŚCINNYCH LUDZI

Marcin Stencel



– Jedziecie do Iranu? I nie boicie się? – to pierwsza reakcja wielu osób na nasze plany urlopowe. A gdy dowiadawali się, że zabieramy ze sobą dzieci, mieliśmy czasami wrażenie, że zaraz zawiadomią opiekę społeczną. W świadomości osób mających standardową wiedzę na temat współczesnego świata Iran funkcjonuje wyłącznie jako jedno z państw „osi zła”.

TWIERDZA BAM

26 grudnia 2003 r. w mieście Bam nastąpiło duże trzęsienie ziemi, podczas którego zginęło 26 tys. ludzi, a 80 proc. miasta oraz jego stara cytadela zostały zniszczone. Dzisiaj piękna twierdza Bam zaczyna odzyskiwać swój blask.

Ten krzywdzący obraz przez wiele lat był utrwalany w zachodnich mediach. Na szczęście sytuacja w ciągu ostatnich lat ulegała poprawie, m.in. w wyniku zawarcia międzynarodowego porozumienia dotyczącego kontroli irańskiego programu rozwoju broni jądrowej. Iran jest też jednym z najbardziej stabilnych i bezpiecznych krajów w regionie. Mocno otworzył się na turystykę, wprowadził choćby ułatwienia w postaci możliwości uzyskania wizy na lotnisku. W 2015 r. odwiedziło go ponad 5 mln turystów.

WIATROLĄPY I BIBLIJNE ARKI

Chcieliśmy doświadczyć legendarnej już gościnności Irańczyków oraz poznać fascynującą i bogatą kulturę tego kraju, z zabytkami i miastami pamiętającymi czasy świetności Imperium Perskiego; z krętymi bazarami czy pozostałościami po jednej z najstarszych religii monoteistycznych na świecie – zaratusztrianizmie. Miała to być zarazem pierwsza zagraniczna podróż naszej 10-miesięcznej córki Nadziei i trzecia (po Zakaukaziu i Azji Centralnej) 4-letniego Antosia.



FOT. MARCIN STRBIELEK

Iran nadal jest obłożony wieloma sankcjami gospodarczymi, a dla turysty najważniejszym utrudnieniem z tym związanym jest brak bankomatów obsługujących międzynarodowe karty płatnicze. Oznaczało to, że całą gotówkę musieliśmy zabrać ze sobą. Ale, ku naszemu zdumieniu, jeszcze przed wyjazdem udało nam się jednak kupić przez internet bilety lokalnych linii lotniczych, dzięki czemu niemal od razu po przylocie do Teheranu wsiedliśmy w samolot na samo południe kraju – do położonego nad Zatoką Perską Bandar Abbas.

Ten region odróżnia się od reszty kraju m.in. mniejszym konserwatyzyzmem, co ujawnia się choćby w kobiecych ubiorach. Jednocześnie południe Iranu, zwłaszcza miasto Minab, to jedno z nielicznych miejsc, gdzie niektóre kobiety zakrywają twarze kolorowymi maskami. Najlepiej wybrać się tam w czwartek, gdy jest organizowany targ. Wraz z sympatyczną parą poznanych wcześniej Polaków byliśmy tam jedynymi turystami i wzbudzaliśmy dość duże zainteresowanie miejscowych. Może dzięki temu wiele kobiet godziło się nawet na fotografowanie.

Prawdziwą perełką Iranu jest największa wyspa Zatoki Perskiej – przypominająca kształtem delfina Kesz. Znaczna jej część jest objęta ochroną w ramach geoparku – obszaru pod patronatem UNESCO, z unikatowymi obiektami geologicznymi. Są nimi na pewno kanion Chahkooh, Dolina Gwiazd czy najdłuższa na świecie jaskinia solna Namkdan. Warto również powłóczyć się po wiosce Laft, raz po raz natykając się na *badgir*, czyli wieże wiatrołapy, pełniące funkcję „klimatyzatorów” pomieszczeń mieszkalnych,

oraz zobaczyć stocznię niedaleko wioski Tabl, gdzie cały czas są budowane, przypominające biblijną arkę, tradycyjne łodzie *lenj*.

PŁOMIEŃ, KTÓRY PRZETRWAŁ 1500 LAT

Kolejnym punktem na naszej trasie było miasto Kerman z uroczym bazarem i *czajchana*, zlokalizowaną w starej łaźni Hammam e-Vakil z 1820 r., w której można było posłuchać

HERBATKA WYJĄTKOWA

Lokum tej gościnnej pani mieści się w jednej ze słynnych grot w Meymand, wydrążonych i zamieszkanych już kilka tysięcy lat temu. Herbata, na którą zaprosiła, smakowała wyjątkowo.



FOT. MARCIN STENCEL



WIELKA KSIĘGA ARCHITEKTURY

Meczet Masjed-e Jameh w Isfahanie. Jest to jedna z najstarszych świątyń w Iranie (początki budowy w VIII w.). Przebudowywany przez wieki wielokrotnie, stanowi dziś zbiór i syntezę wszystkich stylów irańskiej architektury.

FOT. MARCIN STENCEL

BUDUJCIE ARKĘ PRZED POTOPEM

W stoczni niedaleko wioski Tabl powstają nadal, przypominające arkę Noego, łodzie *lenj*. W 2011 r. zostały wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO.



FOT. MARCIN STEKEL



FOT. MARCIN STEKEL

PANI KONSERWATYWNA

W okolicach miast Bandar Abbas i Minab, na bardziej konserwatywnym południu, Iranki zakrywają twarze barwnymi maskami.

tradycyjnej perskiej muzyki na żywo. Okolica Kermanu ma wiele do zaoferowania, m.in. zniszczoną przez trzęsienie w 2003 r. twierdzę Bam. Na miejscu trwają prace restauracyjne i można mieć nadzieję, że już niedługo, gdy znikną rusztowania, twierdza powróci na listę

głównych atrakcji Iranu. Obowiązkowym punktem programu jest też zachód słońca nad Kalutami – ogromnymi piaskowcami wyrzeźbionymi przez wiatr na kształt zamków.

Z Kermanu udaliśmy się do Jazdu, zachacząc po drodze między innymi o Meymand – wioskę, w której do dziś nieliczni już i wiekowi mieszkańcy żyją w skalnych grotach wydrążonych nawet 3000 lat temu. Jazd jest ważnym miejscem dla wyznawców zaratusztrianizmu. Znajduje się tu Świątynia Ognia Ateshkadeh z płomieniem, który podobno nie zgasł od ponad 1500 lat, oraz Wieże Milczenia, w których zaratusztrianie zostawiali ciała zmarłych (pochówek w ziemi zgodnie z zasadami tej religii był zakazany). Niedaleko Jazdu znajduje się najważniejsze miejsce dla zoroastrian – Czak Czak. Jest to położone wysoko w skalnej grocie nieduże źródło (nazwę można przetłumaczyć jako „Kap Kap”). Zgodnie z legendą miała się tutaj schronić okrażona przez Arabów perska księżniczka Nikbanou. Grota otworzyła się dla niej, gdy zwróciła się do boga Ahura Mazdy, a źródło to łyż żalu upamiętniające księżniczkę.

Główną atrakcją Iranu stanowi, położone niedaleko Szirazu, Persepolis. Zbudowane w VI w. p.n.e., pełniło funkcję stolicy imperium Sasanidów rządzonego przez sławnych królów – Dariusza i Kserkesa. Ich groby można zobaczyć w Rostam (zwanym również Necropolis), położonym niedaleko Naqsh-e. Miasto padło łupem zwycięskich Macedończyków pod wodzą Aleksandra Wielkiego i jak głosi legenda, zostało spalone na życzenie jednej z jego kochanek po suto zakrapianej imprezie.

Sam Sziraz jest znany jako „miasto poetów” – tutaj znajdują się groby najważniejszych perskich wieszczów narodowych, Hafeza i Saadiego. Warto odwiedzić również ogrody Eram, meczet Aramgah-e Shah-e oraz Nasir-el-Molk, zwany „różowym meczetem” od koloru witraży, przez które do południa pada słońce i niesamowicie oświetlają wnętrze.

TRZY STOLICE, JAK W POLSCE

Iran, podobnie jak Polska, miał trzy stolice. Przed Teheranem były Sziraz oraz Isfahan. To jedno z wielu skojarzeń, które przychodzi na myśl, gdy porówna się Isfahan z Krakowem. Podobnie jak gród Kraka, Isfahan jest najbardziej turystycznym miastem w kraju. Gości przyciągają przede wszystkim przepiękne zabytki: plac Naqsh-e Jahan, drugi co do wielkości na świecie (po placu Tiananmen w Chinach), z przepięknymi meczetami i pałacem Chechel Sotun. Z placu warto wybrać się na dwukilometrowy spacer do meczetu Masjed-e-Jameh zbudowanego prawie 1000 lat temu!

Isfahan słynie też z dzielnicy Ormian oraz z licznych mostów – za najpiękniejsze uznaje się mosty Khaju oraz Si-o-Seh. Niestety, w Iranie od wielu lat trwa susza i nieczęsto można zobaczyć przepływającą przez miasto rzekę Zayandeh.

ZDJĘCIE RODZINNE Z MUŁŁĄ
Pobytwi w Iranie zawsze i niezmiennie towarzyszy perska gościnność. Tym razem połączona była ze „zdjęciem rodzinnym” – z mułłą, przed jednym z meczetów w Isfahanie.





W RAJSKIM OGRODZIE
Pałac Narenjestan-e
Ghavam na terenie
ogrodu Bagh-e
Eram, którego nazwę
można przetłumaczyć
jako „rajski ogród”.
Jest on jednym
z najładniejszych
w Iranie.

Niedaleko Teheranu leży nieduże jak na standardy tego kraju miasto Kaszan („tylko” 250 tys. mieszkańców), z przepięknymi domami kupieckimi i łaźniami oraz ogrodami Fin, uznawanymi za jedne z najładniejszych w całym Iranie. Prawdziwe piękno perskich ogrodów docenimy na wiosnę, gdy rozkwitają wszystkie kwiaty.

Na miejscu można zorganizować wycieczkę na pustynię Maranjab, połączoną z noclegiem w XVII-wiecznym karawanseraju,

wizytą nad wyschniętym jeziorem Namak oraz odwiedzinami podziemnego miasta Nuszabad. Zbudowane w celach obronnych ponad 1500 lat temu, zostało zapomniane. I choć nie zachowała się żadna pisemna wzmianka na jego temat, to tutejsi Irańczycy z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie jego historię, która z czasem obrosła legendą. W końcu ślady miasta zostały odkryte przez jednego z mieszkańców, podobno w trakcie kopania studni. Samo odkrycie może się okazać, jak twierdził



nasz przewodnik, jednym z najrozleglejszych kompleksów podziemnych na świecie. Prace archeologiczne wciąż trwają, a turystom jest udostępniona na razie tylko część korytarzy.

GOŚCINNY PERS

W trakcie podróży kilka razy korzystaliśmy z domowej gościny użytkowników portalu couchsurfing. Co ciekawe, nocowanie turystów w domach Irańczyków jest teoretycznie

niezgodne z prawem, w praktyce jednak przepis ten przegrał w konfrontacji z kilkusetletnią tradycyjną gościnnością Persów. Dzięki temu mogliśmy między innymi poznać Mohameda z Kaszanu, który niezwykle umiłował sobie nasz kraj. Przed nami gościł kilkudziesięciu rodaków, a Polskę odwiedził już dwa razy i nauczył się nawet polskiego w stopniu komunikatywnym! W ramach couchsurfingu byliśmy też goszczeni w ostatnim punkcie naszej trasy, czyli Teheranie.

Jak wyjazd zniósł nasze dzieci? Były trudne momenty, gdy po całym dniu spędzonym w drodze miały dość – trudno im się dziwić, sami często byliśmy padnięci. Gościnność Irańczyków często jednak rekompensowała nam trudy podróży. Objawiała się ona choćby w drobnych gestach: czy to na lotnisku, kiedy czekaliśmy na wizę i Antoś dostał od pracowników lota, czy innym razem na bazarze, kiedy Nadzieja dostała bransoletkę. Pewnego razu człowiek, który pomógł nam zatrzymać taksówkę i dogadać się z kierowcą, w tajemnicy przed nami zapłacił za ten przejazd, o czym dowiedzieliśmy się dopiero przy wysiadaniu...

Są dwa rodzaje perskiej gościnności – pierwsza trochę powierzchowna i może na pokaz, np. sprzedawca odmawiający zapłaty za zakupiony towar (należy w takiej sytuacji grzecznie domagać się przyjęcia pieniędzy), i ta druga, płynąca z serca i troski o dobro gościa. Z tą ostatnią spotykaliśmy się zdecydowanie częściej. Ale właściwie to obie dobrze świadczą o tym kraju i jego miłych mieszkańcach. ○

DŹWIĘKI MĘSKIE I ŻEŃSKIE
Na drzwiach tradycyjnych irańskich domów często znajdują się dwa rodzaje kołatek – dla mężczyzn i dla kobiet. Oczywiście, wydają one odmienne dźwięki.



Marcin Stencel

Wrz z żoną Kariną przez ponad rok włączyli się po Ameryce Południowej, co opisali na blogu backpackersfamily.com. Od niedawna podróżują w składzie poszerzonym o dwie pociechy (Antoś i Nadzieja) oraz organizują Gdynskie Warsztaty Podróżnicze. Zawodowo uczy angielskiego i prowadzi prelekcje ze swoich wyjazdów.



SERCE ŚWIATA MAJÓW

Alicja Kubiak i Jan Kurzela

Calakmul jest tajemnicze, owiane legendą. Wycieczkowiczów jak na lekarstwo, ani śladu komercyjnych straganów, a towarzystwo przewodnika okazuje się niezbędne. Zdecydowani na wizytę tutaj muszą się liczyć z wielogodzinną podróżą i licznymi niewygodami.



FOT. AUCIA KUBIAK - JAN JONCZKA

Na Półwyspie Jukatańskim w Meksyku znajdują się niezliczone ilości stref archeologicznych, w których można podziwiać miasta starożytnych Majów. Dotarcie do Chichén Itzá, Tulum, Uxmal czy Palenque nie stwarza problemów. Wejść na teren miast można samemu lub



z przewodnikiem, który odkryje przed nami tajniki świata Majów. Wśród przeogromnej ilości różnorodnych pamiątek każdy znajdzie coś dla siebie.

Dlaczego więc nie zadowoliliśmy się wielką historią cywilizacji Majów, którą mieliśmy na wyciągnięcie ręki, bez męczenia się? Dlatego, że zawsze chcemy więcej, im bardziej ekstremalnie, tym ciekawiej, i nie lubimy deptać turystom po piętach. Zacznijmy jednak od początku.

TRASA NIE DLA GRINGOS

Calakmul było jednym z największych miast starożytnych Majów. Dominowało zarówno pod względem wielkości, jak i populacji. W czasach świetności mieszkało tu ponad 50 tys. osób. Było to najbardziej wpływowe i największe królestwo Mezoameryki. Dowodem na to są wspaniałe budowle, których jest tu bardzo dużo. Miasto miało powierzchnię 70 km². W czasach starożytnych tętniło życiem, było sercem napędzającym cały organizm zwany Mundo Maya, czyli świat Majów.

Calakmul leży głęboko w dżungli jukatańskiej, na nizinie Petén, 30 km od granicy z Gwatemalą. Pod koniec lat 80. na tych terenach utworzono Rezerwat Biosfery Calakmul, który został w 2002 r. wpisany na listę UNESCO. Obejmuje on ponad 7 tys. km², co oznacza, że w jego skład wchodzi ponad 14 proc. powierzchni stanu Campeche. Miasto znajduje się właśnie na tym obszarze.

W GÓRĘ NA STRUKTURĘ
Schody na Strukturę II nie wydają się aż tak wysokie, ale pokonanie ich wymaga sporego wysiłku.

Nieliczni turyści przyjeżdżają tu z dwóch kierunków: Escárcega lub Xpujil, najczęściej wynajętymi samochodami. Jedyna linia autobusowa, która przebiega przez te tereny i łączy miasta Chetumal na wschodzie półwyspu z Méridą na północnym zachodzie, jest raczej trudno dostępna dla białych turystów. Kursują tu autobusy firmy Mayab, a ich pracownicy bardzo niechętnie zabierają *gringos*. Tłumaczy to tym, że autobusy są drugiej klasy, co oznacza, że nie mają zabezpieczenia luków bagażowych i można łatwo stracić bagaż. Poza tym przejeżdżają przez tereny, gdzie jeszcze do niedawna przebiegały szlaki narkotykowe i rządząli partyzanci.

Miejscowi opowiadali nam, że zdarzają się przypadki wtargnięcia do autobusu grupy uzbrojonych mężczyzn i wyprowadzenia turystów. Według słów mieszkańców tamtych okolic często taki nieszczęśnik zostaje na środku drogi w samych majtkach. Ile w tym prawdy – nie wiemy. Nam udało się przejechać drogą numer 186 bez uszczerbku na zdrowiu i majątku. Według miejscowych szosa jest najniebezpieczniejszą trasą w całym Meksyku.

CZEPIAK CZARNOREKI

Tereny Rezerwatu Biosfery Calakmul zamieszkują liczne gatunki zwierząt – małpy, jelenie, tapiry, oceloty, czy nawet jaguary.



W KRÓLESTWIE WĘŻA

Przy zjeździe z głównej trasy znajduje się posterunek wojskowy, w którym spisano nasze dane z dokumentów. Tam też kupiliśmy bilety wstępu i spotkaliśmy się z przewodnikiem, bez którego wejście na teren parku byłoby niemożliwe. Kiedy załatwiliśmy formalności i opuściliśmy posterunek, przed nami rozciągała się już tylko Rezerwat Biosfery Calakmul.

Jechaliśmy przez ten ogromny park wąską, asfaltową drogą, która po około 60 km miała zaprowadzić nas do ruin. W międzyczasie jednak przewodnik zapytał nas, czy nie chcielibyśmy zatrzymać się i udać na spacer po dżungli. Powiedział, że przy dużym szczęściu możemy spotkać tu takie zwierzęta, jak pumy, oceloty i jaguary. Zgodziliśmy się bez najmniejszego wahania. Uzbromieni w aparaty fotograficzne i kamery, ochoczo ruszyliśmy na łowy. Niestety, aż tyle szczęścia nie mieliśmy. Udało się nam jednak zobaczyć wiele innych zwierząt, np. aguti, kolorowe ptaki, iguany i wiele gatunków małych. Dla nas ten spacer był bardzo udany.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zobaczyliśmy na parkingu tylko jeden samochód osobowy. Żadnych autokarów, busów. Ucieszyliśmy się bardzo, bo spędziliśmy już wiele dni na Jukatanie i jak do tej pory wszystkie najpiękniejsze i najbardziej okazałe strefy archeologiczne były koszmarnie zatłoczone i obleżone nie tylko przez turystów, lecz także przez wszechobecnych handlarzy chińszczyzną, stojących nawet 10 m od samych piramid.

Calakmul było prężnym ośrodkiem władzy Kaan, czyli Królestwem Węża. Na jego terenie znajduje się potężna Struktura II, czyli 45-metrowa piramida, która u podstawy

ma 120 m² (według niektórych źródeł – 55 m wysokości i 140 m²). Jest ona największą do tej pory odkrytą piramidą w świecie Majów. Z jej wierzchołka przy bardzo dobrej pogodzie można zobaczyć szczyty oddalonego gwatemalskiego miasta Tikál, odwiecznego wroga Calakmul.

Do dzisiaj widać, jaką potęgą było to miasto za czasów starożytnych. W okolicy odkryto 6750 różnego rodzaju budowli. Są to głównie pałace i świątynie. Znalaziono tutaj również

NIeczytelne pismo

Kamienne stelle służyły Majom do komunikacji. Posługiwali się oni hieroglifami, które były bardzo skomplikowane, i odczytanie ich zajęło naukowcom cały XX w.



starożytny system wodociągowo-kanalizacyjny. Był bardzo rozbudowany i świadczył o wielkości i prestiżu miasta. Odnaleziono kilka zbiorników, dzięki którym Majowie mogli magazynować wodę.

Dodatkową atrakcją tego miejsca jest możliwość wchodzenia na każdą piramidę. Nie wszędzie są one udostępnione, ponieważ turyści bardzo często spadali, a nawet się zabijali. Ostatni taki przypadek miał miejsce 10 lat temu i właśnie wtedy władze wydały zakaz wchodzenia na budowle. Nie obowiązywał on w Calakmul, oczywiście ku naszej ogromnej radości, która jednak trwała do czasu.

Rzecz jasna weszliśmy na kilka największych piramid. Długo nie zapomnimy wspinania się na Strukturę I. Samo wejście nie było najgorsze, a widok z góry zrekompensował trud. Problemy zaczęły się przy zejściu. Kiedy podeszliśmy do krawędzi, nie mogliśmy zobaczyć niższego stopnia, ponieważ był

bardzo wąski. Musieliśmy wymacać go nogą. Schodziliśmy bokiem, bez żadnego podparcia czy możliwości chwycenia czegokolwiek. Nie mamy lęku wysokości, jednak zejście w takich warunkach z 40 m było wyzwaniem.

Zapytaliśmy naszego przewodnika, dlaczego Majowie budowali w ten sposób schody do pałacu, skoro na górze mieszkał sam król. Odpowiedział nam, że król opuszczał pałac rzadko i wtedy był znoszony i wnoszony w lektyce. Nie potrafił wytłumaczyć, jak można było tego dokonać bez narażania władcy na niechybną śmierć.

MIĘDZY HIEROGLIFAMI

W mieście odkryto również 120 stel ze śladami pisma, co świadczy o tym, że Majowie posiadali również i tę umiejętność. Nie posługiwali się, co prawda, pismem w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale używali hieroglifów.

CO WIDZI KACYK

Kacyk pąsogłowy – ptak z rzędu wróblowych występujący w Ameryce Środkowej i Meksyku. Po prawej widok ze Struktury II na Strukturę I.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. ALEKJA KUBIAK I JAN KURZEŁA



FOT. ALICJA KUBIAK I JAN KURZELA

Były to skomplikowane rysunki symboli, którymi umiała się posługiwać tylko arystokracja. Pomimo tego literatura i poezja były bardzo rozwinięte.

Niestety, za czasów konkwisty Hiszpanie, w obawie przed rozprzestrzenianiem się niezrozumiałych dla nich informacji, zakazali Majom posługiwania się hieroglifami. Mało tego, zaczęto nauczać ich alfabetu łacińskiego. Kary za używanie hieroglifów były tak dotkliwe, a nauka tak szybka i skuteczna, że wkrótce o hieroglifach zapomniano. Potrafili nimi posługiwać się już tylko ci, którzy uciekli przed konkwistą głęboko w dżungłę, ale oni nie mieli kontaktu z pozostałymi Majami, a i sami wkrótce wymarli. Ta sytuacja spowodowała, że współcześni naukowcy mieli ogromne problemy z odszyfrowywaniem hieroglifów.

Żmudne prace trwały przez cały XX w., a te bardziej intensywne zaczęły się zaraz po II wojnie światowej. Ich pionierem był rosyjski filolog i archeolog Jurij Koronozow. To dzięki niemu obecnie hieroglify są już w większości zrozumiałe, chociaż nadal pozostają drobne nieścisłości i nieudomowienia.

Śmiało możemy powiedzieć, że strefa archeologiczna Calakmul jest jednym z najciekawszych miejsc nie tylko Jukatanu, lecz także całego świata Majów. Wrażenia, jakie towarzyszyły nam podczas zwiedzania, były niezwykle. Poczuliśmy atmosferę tamtych czasów, mieliśmy niepowtarzalną okazję dotykać steli, których dotykali wielcy, wchodzić na stopnie, na których stały stopy starożytnych władców. Przez krótki czas mogliśmy poczuć zew historii i podziwiać potęgę nadgrzyzioną zębem czasu. ○

SCHODY JEGO WYSOKOŚCI

Schody na Strukturze II są bardzo wąskie i wysokie. Były budowane w taki sposób, aby odzwierciedlać potęgę i siłę władcy.



Alicja Kubiak i Jan Kurzela

Pasjonaci, autorzy książek podróżniczych. Wędrują bezdrożami i starają się docierać w trudno dostępne tereny. Niedawno wrócili z Papui Zachodniej.



POLSKA NIEZNANA
Mikołaj Gospodarek

SUWALSKA CISZA



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Jesień zawsze przynosi ciszę. Kurorty powoli pustoszeją, na deptakach króluje wiatr i spokojnie spacerujący emeryci. A co się dzieje na suwalskich przestrzeniach? Prawie nic – i to jest najpiękniejsze. Można się tu wsłuchać w panującą dookoła ciszę, niekiedy przerwana rytmicznym dźwiękiem traktora. To idealne miejsce, by odkrywać uroki jesieni.

malownicze zakręty czy szumiące trzcinowiska, okazuje się, że brak atrakcji jest atrakcją samą w sobie. Myślę, że można to odczuć nie tylko na Czarnej Hańczy, lecz także na wielu innych suwalskich rzekach – tu po prostu jest cudownie cicho i można się skupić na naturze.

Suwalszczyzna to nie tylko rzeki i spływy. To piękna, polska wersja Toskanii. Można się o tym przekonać, gdy minie się Jeleniewo i uda na samą północ. Rozświetlony scenami z filmu Andrzeja Wajdy punkt widokowy U Pana Tadeusza w Smolnikach to tylko jedna z możliwości. Niemal każde wzniesienie oferuje widoki falujących wzgórz, które są świadectwem działania na tych terenach lodowca. Poza wzgórzami i dolinkami są również inne jego pozostałości. Do najbardziej znanych należy głazowisko w okolicach Bachanowa, tuż obok najgłębszego w Polsce jeziora – Hańczy. Wprawne oko odnajdzie jednak w wielu innych miejscach ciekawe skupiska kamieni i głazów. Okazy znajdują się tuż przy drodze do wsi staroobrzędowców w Wodziłkach. Trzeba również wspiąć się na szczyt Cisowej Góry. Rozpościera się z niej przepiękny widok, a wokół jej powstania od wieków są snute ciekawe legendy – niektórzy twierdzą, że to wulkan, i nazywają ją Suwalską Fudżijamą.

Dla tych, którzy lubią odkrywać, rajem staną się drogi za Rutką-Tartak w kierunku

Uwielbiam spływy kajakowe. Latem odstrasza mnie tłok i hałas, natomiast jesienią można poczuć się tutaj jak w kanadyjskiej głuszy. Co prawda wiele firm kończy pracę z końcem września, ale można znaleźć zapaleńców, którzy niemal cały rok wywożą kajaki i pomogą w organizacji spływu. Moja ulubiona od lat trasa rozpoczyna się w Wysokim Moście.

Czarna Hańcza na odcinku do Okółka to idealne miejsce na całodzienną wycieczkę. To długa trasa, ale rzeka płynie tu dosyć wartko, a poza tym w październiku jest na niej zupełnie pusto. Jeśli rozpocznie się spływ z samego rana, można przed zmrokiem wyciągnąć kajak z wody przy moście w Okółku. Co zobaczymy po drodze? Na pierwszy rzut oka niemal nic. Kiedy jednak spojrzysz się na leśne zakątki,



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Wiżajn. Ejszeryszki czy Maszutkinie brzmią egzotycznie? To wioski rozłożone na wzgórzach, polach, a pomiędzy nimi są położone malownicze jeziora. Tutaj można znaleźć również góry północy – Góry Sudawskie. Wznosząca się na 250 m n.p.m. Góra Prusaka to Mount Everest tego zakątka – dostępny niemal dla każdego. Wzgórza morenowe, jary, wąwozy, ale też liczne rzeki czy bagna – wszystko na tym zapomnianym końcu świata. Niezależnie od pory roku odkrywam tutaj coś ciekawego i nowego. Oczywiście idealnie sprawdzi się tu rower, ale i samochodem można dojechać w wiele miejsc (królują szutry, asfalt kończy się na granicy nudy i przygody). Trzeba jedynie uważać, żeby fantazja zwiedzania nie skłoniła do nielegalnego przekroczenia granicy państwa, szczególnie z Obwodem Kaliningradzkim, bo może przysporzyć to niepotrzebnych kłopotów.

Choć litewska Suwalszczyzna pod względem jezior jest nieporównywalnie ciekawsza, to i po polskiej stronie można

znaleźć bardzo urokliwe miejsca. Wspomniane już jezioro Hańcza przyciąga ze względu na głębokość, ale dla zwykłego turysty jest to średnich lotów przeżycie estetyczne. Na szczęście jest tu niezliczona ilość niekiedy bezimiennych jezior, rozsianych pośród wzgórz i tworzących niezwykle krajobrazy. Bardzo ciekawe, choć trudno dostępne, są jeziora Jaczno i Kamenduł. Woda w nich jest niekiedy niemal lazurowa, a ukrycie przed światem pośród szutrowych dróg jest gwarancją niezwyklej przyrody pośród ciszy i spokoju. Na malowniczym półwyspie z powodzeniem od lat funkcjonuje Gościniec Jaczno, który warto odwiedzić. Z innych miejsc, które mogą się okazać doskonałe na nocleg, polecam Cisowe Wzgórze w Rowelach, a dla tych, którzy lubią bliskość rzeki, idealne będzie siedlisko Zakole Czarnej Hańczy w Tartaczysku, z prywatnym dostępem do rzeki i własnym pomostem. Od strony kulinarnej trzeba wspomnieć o kartaczach, które są regionalnym przysmakiem – można

ich spróbować w Jeleniewie, w karczmie Pod Jelonkiem.

Suwalszczyzna to nie tylko przyrodniczy raj. Tym, którzy lubią pozwiedzać i spotkać się z historią, spodoba się na spacerze po Sejnach. Z pozoru to nieciekawie miasteczko, ale jeśli pospaceruje się w okolicach starej synagogi, to można odkryć różne ciekawostki. Nie da się również pominąć pokamedulskiego klasztoru na Wigrach. W Suwałkach na pewno warto zapytać w sklepie o sękacze firmy Janza. Z komercyjnej oferty to chyba najsmaczniejszy wybór. Warto też zobaczyć Augustów. Za każdym razem udaję się do knajpy słynnej z przeboju „Siedem dziewcząt” Jana Laskowskiego. Godne uwagi jest również pobliskie sanktuarium Studzieniczna, odwiedzane przed laty przez św. Jana Pawła II. To urokliwe miejsce z piękną kaplicą na wodzie.

Jesień na Suwalszczyźnie jest cicha. Widok turysty często wywołuje tutaj długie spojrzenia, bo jest to bardzo nieoczywisty region na weekendowy wypad czy urlop. Wydaje mi się jednak, że to naprawdę krajina warta odkrycia, a jesienią staje się ona jeszcze piękniejsza o wszystkie możliwe kolory polskiej złotej jesieni. ☺



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

MENAŻERIA KRUGERA

Rafał Sitarz

Położony we wschodniej części RPA Park Krugera jest uznawany obok kenijskiego Masai Mara oraz tanzańskiego Serengeti za obowiązkowy punkt dla wszystkich miłośników safari. Żyje w nim cała wielka piątka Afryki. Pracownicy organizacji zajmujących się ochroną zwierząt są pasjonatami i potrafią godzinami opowiadać o swoich podopiecznych.

Gepardy jako jedyne z kotów mają niechowające się pazury, co zapewnia im przyczepność niezbędną do błyskawicznych zmian kierunku biegu. Rozpędzenie do 75 km/h zajmuje im dwie sekundy. Mogą poruszać się z prędkością ponad 100 km/h przez kilkaset metrów, a następnie muszą się zatrzymać. Powodem tego nie jest zmęczenie, lecz przegrzewanie się organizmu.



Hieny nie żywią się, wbrew obiegowej opinii, jedynie padliną, lecz stadnie polują na większe zwierzęta, korzystając z najsilniejszych szczęk wśród ssaków. Stado potrafi przez kilka kilometrów gonić ofiarę i ranić ją, aby zaatakować, gdy będzie wycieńczona. Dotknięcie tych zwierząt gwarantuje przykry zapach, którego nie można się pozbyć przez wiele dni.



Zebry są na safari jednymi z najczęściej spotykanych zwierząt. Można poznać, w jakiej kondycji jest dany osobnik, po jego grzywie. Zwierzona wskazuje na chorobę.



Karakale należą do drapieżnych kotów, a ich nazwa wywodzi się od tureckiego słowa *karakulak*, co oznacza „czarne ucho”.
Na wolności są obiektem polowań nie ze względu na cenne futro, ale na szkody, które wyrządzają na farmach.



Żyrafy potrafią spędzać sen z oczu strażnikom w parkach. Często opierają się o ogrodzenia i z powodu masy przekraczającej u samców 1500 kg wydostają się na zewnątrz. Zatrzymanie żyrafy to karkołomne zadanie, gdyż potrafi się rozpędzić do ponad 50 km/h i trątuje napotkane przeszkody.



Wiele gatunków kotów, jak ten serwal, jest pod opieką w rezerwacie założonym przez Ann van Dyk. Pracujący tam wolontariusze prowadzą programy, które mają na celu zwiększenie populacji zagrożonych gatunków.



Kilka gatunków małp, jak ta kapucynka czubata, znajduje się pod opieką położonego w pobliżu Johannesburga prywatnego rezerwatu. Znalazły w nim schronienie chore zwierzęta, skonfiskowane na lotniskach przy próbie nielegalnego wywozu z kraju lub odebrane właścicielom, którzy niewłaściwie się nimi opiekowali.



Lemury zyskały popularność w popkulturze dzięki królowi Julianowi z filmu „Madagaskar”. Obecnie wszystkie ich gatunki są zagrożone wyginięciem z powodu polowań oraz niszczenia ich siedlisk. Łacińskie *lemures* oznacza „duchy zmarłych” lub „duchy nocy”, z powodu odbłasku oczu charakterystycznego dla nocnych gatunków.



Czarny lampart jest rzadkością. Ma charakterystyczne cętki, które są słabo widoczne na ciemnym futrze. Swoją barwę zawdzięcza recesywnej formie genu. Z racji koloru są nazywane także czarnymi panterami.



Rafał Sitarz

Podróżnik, fotograf, z wykształcenia informatyk i trener tenisa ziemnego. W podróżach z żoną po Azji, Afryce i Amerykach spędził łącznie kilka lat. Unika wielkich miast, podróżuje lokalnymi środkami transportu. Pracował w Arabii Saudyjskiej, Kenii, Rwandzie, Jordanii, Maroku, Emiratach Arabskich, Tunezji i Rosji. Autor blogów podróżniczych oraz pokazów zdjęć.



Lwy budzą się wczesnym rankiem, zanim temperatura będzie trudna do wytrzymania. Ruszają do wodopojów i głośnym rykiem przypominają okolicznym samcom o zajmowanym przez siebie terytorium.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.


Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Tapas to hiszpańskie przekąski, podawane na ciepło i na zimno. Zazwyczaj serwuje się je do alkoholu – nazwa *tapa* oznacza przykrywkę i pochodzi od zwyczaju Andaluzyjczyków, którzy przykrywali kieliszek wina plasterkiem kiełbasy, by nie naleciały do niego muchy.

 **SKŁADNIKI:**

- 2 jajka
- szklanka mleka
- szklanka mąki pszennej
- 2 łyżki startego na drobnych oczkach sera manchego (lub innego owczego)
- łyżeczka posiekanej natki pietruszki
- łyżeczka ostrej papryki
- szczypta soli
- olej do smażenia

Buñuelos z serem manchego

 Wszystkie składniki wymieszać, łyżką formować placuszki i smażyć na sporej ilości rozgrzanego oleju.

🕒 1,5 GODZINY 🍴 6 OSÓB

TAPAS

Asadillo

🍳 SKŁADNIKI:

- 4 duże czerwone papryki
- 4 pomidory
- 4 ząbki czosnku
- 2 łyżki oregano
- sól, pieprz, ostra papryka do smaku

🍳 Papryki obrać i upiec w piekarniku, a po wystudzeniu pokroić w paski. Pomidory pokroić w półplasterki, czosnek przecisnąć przez praskę.

W wysmarowanym oliwą naczyniu układać warstwami paprykę, pomidory, czosnek i oregano. Przyprawić i zapiekać przez 20 min.

🍳 Pomidory umyć, odkroić górną część i wydrążyć środek. Składniki nadzienia drobno pokroić, dokładnie wymieszać i nafaszerować nimi pomidory.

Tomates rellenos

🍳 SKŁADNIKI:

- 10 pomidorów

Nadzienie 1:

- 4 ugotowane jajka
- 2 ząbki czosnku
- 2 łyżki majonezu
- 2 łyżki pietruszki
- sól i pieprz do smaku

Nadzienie 2:

- puszka tuńczyka
- 2 łyżki czarnych oliwek
- łyżka kaparów
- 2 łyżki majonezu
- 2 ząbki czosnku
- sól i pieprz do smaku



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Anna Szczesna

Powstała niewiele później niż starożytny Rzym. Upadła mniej więcej w tym samym czasie co asyryjska Niniwa. Cała była z drewna i stała na torfowisku otoczonym wodami jeziora. Do dziś nie wiadomo, kim naprawdę byli jej mieszkańcy. Jedno jest pewne – któregoś dnia po prostu opuścili swoje domostwa.



FOT. CZARY WOIŃKOWSKI - SHUTTERSTOCK

ZA PRADAWNĄ PALISADĄ

Najpierw rozpadały się obfite deszcze. Potem wody jeziora stopniowo zaczęły się podnosić. Mieszkańcy za wszelką cenę próbowali zapobiec nadciągającej zagładzie. Podwyższali podłogi domów i drogi, rozbudowywali wały, umacniali brzegi wyspy. W końcu jednak musieli się poddać w nierównej walce z żywiołem. Opuścili osadę, którą pochłonęły fale jeziora.

Młody nauczyciel bardzo lubił odwiedzać to miejsce. Nic dziwnego, wokół rozścięły się malownicze łąki, lasy, doliny, pagórki, a także ponad sto jezior połączonych, w większości, w wodny różaniec rzeką Gąsawką. Walenty Szwajczer był wprost oczarowany tą wspaniałą krainą ukształtowaną tysiące lat temu przez lodowiec. Upodobał sobie zwłaszcza niewielki półwysp na Jeziorze Biskupińskim. Fascynowała go jego uroda, a także związane z nim legendy i tajemnicze historie. Pewnego dnia, podczas spaceru, sam natknął się tutaj na dziwne zjawisko. Z wody ukośnie wystawały zagadkowe

drewniane belki, których wcześniej w tym miejscu nie było. Nauczyciel jeszcze wtedy nie wiedział, że poziom wody w jeziorze znacznie opadł na skutek pogłębienia jego dopływu – Gąsawki. Jako pasjonat archeologii domyślił się jednak, że ma do czynienia ze znaleziskiem historycznym, i trafnie skojarzył je z ceramiką, której fragmenty napotykał już wcześniej na brzegu jeziora. Uznał wtedy, że wystające z wody pale to krokwie dachów zatopionych domów jakiejś pradawnej osady.

Był 1933 r. Po dokonaniu oględzin prof. Józef Kostrzewski, jeden z najwybitniejszych polskich archeologów, zorientował się, że Walenty Szwajczer nie do końca miał rację. To nie były dachy domostw, ale pozostałości potężnego falochronu. Natomiast „grodziszcze”, jak mawiali miejscowi, to prehistoryczna osada wspólnoty zaliczanej do kręgu tzw. kultury łużyckiej. Uczony stwierdził, że powstała ona we wczesnej epoce żelaza, jakieś 700 lat przed narodzeniem Chrystusa. Rok później w Biskupinie ruszyły prace

wykopaliskowe. Archeolodzy zaczęli wydobywać z dna jeziora tajemniczą osadę zatopioną ponad 2500 lat wcześniej. Szczęśliwie okazało się, że woda, muł, piasek, szlam i przede wszystkim torfowisko, na którym została posadowiona, zachowały ją w doskonałym stanie, choć była zbudowana z drewna. Przetrwały również materiały organiczne: tkaniny, przedmioty z kości, rogu czy gliny. Okazało się, że katastrofa sprzed wieków, która zmusiła mieszkańców Biskupina do nagłego opuszczenia domostw, wszystko świetnie zakonserwowała. Dzięki temu udało się poznać autentyczny plan całej prehistorycznej osady i dziś można zobaczyć, jak tysiące lat temu żyli tutaj ludzie. Ze względu na doskonały stan znaleziska o Biskupinie zaczęto mówić „polskie Pompeje”. I choć osadę zalała woda, nie lawa, przetrwała równie dobrze zachowana jak starożytne miasto.

Po powrocie z Biskupina zaglądam do archiwalnych numerów dawnych gazet z 1936 r. – miesięcznika krajoznawczego

Ziemia oraz czasopisma Tęcza. Znajduję w nich obszernie artykuły prof. Kostrzewskiego o trwających wtedy w najlepsze wykopaliskach w Biskupinie. Z pierwszej ręki dowiaduję się, że obecny półwysep stanowił kiedyś mieliznę na jeziorze i został wykorzystany do zbudowania nawodnej osady obronnej na palach – warowni typu bagiennej. Imponująca, idealnie rozplanowana, zaawansowana kulturowo świadczy o wysokim poziomie cywilizacyjnym twórców. Kiedy powstała, miała owalny kształt, a ze stałym łądem łączył ją drewniany pomost. Cała była otoczona wałem zbudowanym z drewnianych skrzyń wypełnionych ziemią. Wokół niej, w dno jeziora, ukośnie wbito drewniane słupy, które służyły jako falochron i utrudniały ewentualny atak od strony wody. Nad wałem wznosiła się wieża strażnicza z bramą wjazdową strzeżoną przez ludzi i psy. Kogo tak bardzo obawiali się mieszkańcy osady, że budowali takie fortyfikacje? Najeźdźców z nieurodzajnego Pomorza, którzy zazdrośnie spoglądali na żyzne ziemie sąsiadów. To w obronie przed nimi ludność kultury łżyckiej chroniła się w grodach otoczonych wałami, wznoszonych na miejscach z natury już obronnych, najczęściej na wyspach i półwyspach.

Dalej czytamy, że w pobliżu bramy mieścił się niewielki plac, gdzie odbywały się zebrania i wiece, czy też mogły zawracać wozy. Osadę przecinały równoległe ulice, które łączyła ulica okrężna, biegnąca od wewnętrznej strony wału – wszystkie były wyłożone drewnianymi belkami ze względu na bagniste podłoże. Wzdłuż ulic ustawiono jednakowej wielkości chaty – całkiem spore, o bardzo dużych otworach drzwiowych skierowanych na południe. Wszystkie budynki stojące w jednym rzędzie pokrywał wspólny dach, prawdopodobnie kryty trzcina. Ich wnętrza dzieliły się na dwie części – izbę główną z paleniskiem i łóżem dla całej rodziny oraz przedsionek dla zwierząt.

Mieszkańcy Biskupina żyli głównie z rolnictwa i hodowli bydła. W osadzie istnieli także rzemieślnicy. Jak pisze prof. Kostrzewski, ludność osady była stosunkowo zamożna i miała wyrobiony smak artystyczny, czego dowodem są odkryte tu piękne okazy ceramiki i obfite występowanie drogich szklanych paciorków, sprowadzanych z Egiptu. Zdaniem profesora musiała tu także istnieć silna władza

Przygoda Wzywa –
do Meksyku!

Na Wyprawę zaprasza
Marek Kamiński!

MERIDA CANCUN
CHICHEN ITZA TULUM
HUACÁN VERACRUZ
RZĘKA USUMACINTA
YAXCHIL

DLA MŁODYCH
PODRÓŻNIKÓW
DLA MŁODYCH

MAREK KAMIŃSKI KATARZYNA STACHOWICZ-GACEK
MAREK I CZESZKA JAGUARA

R E K L A M A

naczelną, która umiała zyskać posłuch. Świadczy o tym niezwykle planowe założenie osady, trzykrotnie odnawiane wały obronne i wzmocnienie odzyskanego potężnym falochronem. Niestety, osada przetrwała tylko 150 lat. Prawdopodobnie rosnący poziom wód w jeziorze, wywołany zmianami klimatu, spowodował jej zalanie i zmusił mieszkańców do nagłego opuszczenia domostw.

Sięgam jeszcze po wydanie Dziennika Polskiego z 1946 r. Jestem ciekawa, jakie były losy Biskupina w czasie wojny. Znowu mam informacje z pierwszej ręki – z artykułu prof. Kostrzewskiego dowiaduję się, że polscy naukowcy prowadzili tu prace niemal do końca sierpnia 1939 r., przerwali je na kilka dni przed

wybuchem II wojny światowej. Później Niemcy przez jakiś czas prowadzili tutaj badania, aby znaleźć potwierdzenie, że te tereny były pragermańskie. Nie udało im się to i osadę zasypali ziemią. Po wojnie polscy archeolodzy pod kierunkiem prof. Zdzisława Rajewskiego na nowo ją zrekonstruowali. ◯

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.



KEEN TARGHEE EXP

TARGHEE PRZEZ LATA STAŁ SIĘ IKONĄ I FUNDAMENTEM KOLEKCJI TRAILHEAD. JEST SYNONIMEM TRWAŁOŚCI, WYTRZYMAŁOŚCI I KOMFORTU. WŁAŚNIE ROZPOCZYNAJEMY NOWY ROZDZIAŁ W HISTORII NASZEGO NAJLEPSZEGO BUTA TREKKINGOWEGO. NOWY ULTRAWYTRZYMAŁY TARGHEE EXP ZOSTAŁ PRZYGOTOWANY, ABY SPRAWDZIĆ SIĘ W KAŻDYCH WARUNKACH.

WAGA

Keen Targhee EXP jest niezwykle lekki, niewiele cięższy niż sandały. Jest zbudowany z gęsto tkanej nylonowej tkaniny. System wiązania sznurowadeł również został zredukowany. Stanowią go pętelki z nylonu. But w rozmiarze 44, w wersji do kostek, waży zaledwie 520 g.

KOMFORT

Targhee EXP mają mocno rzeźbiony bieżnik, który nie ślizga się na błocie czy mokrych skałach. Podeszwa jest podciągnięta na czubku i chroni palce przed urazami mechanicznymi. Jest też miękka, but łatwo się zgina i pracuje w śródstopiu. Śródpodeszwa w znacznym stopniu redukuje drgania, co bardzo poprawia komfort. Wyjmowana wkładka podwójnej gęstości sprawnie odbiera wilgoć od stopy i jest wygodna.

SZNUROWANIE I WIĄZANIE

Mocne zasznurowanie pozwala wybrać wszystkie luzy z boku. But dostosuje się do szerokiej i węższej stopy. Doskonale trzyma kostkę i staw skokowy.

WODOODPORNOŚĆ I ODDYCHALNOŚĆ

Buty są wyposażone w membranę KeenDry. Bez względu na warunki nie przeciekną. Membrana odprowadza wilgoć na tyle sprawnie, że podczas wysiłku nie będziemy czuli dyskomfortu.

DLA KOGO

Keen Targhee EXP to buty dla ludzi szukających obuwia uniwersalnego, którzy chcą mieć jedną parę na jesień, zimę i wczesną wiosnę. Można nosić je w mieście, ale dobrze sprawdzą się na wycieczkach i w niższych górach.



Hej, w góry!

Góry przez cały rok mogą zaskoczyć zmienną i nieprzewidywalną pogodą. Nawet latem temperatura w Tatrach czasem spada poniżej zera. Dlatego odpowiednia odzież oraz sprzęt są niezwykle ważne podczas górskich akcji.



TRZY W JEDNYM WANABEE ARLY

Membrana CLIMSKIN 3000 zapewnia wodoodporność i oddychalność, a podklejone szwy dodatkowo ochronią przed dostaniem się wody. Kurtka ma wypinany polar, dzięki czemu można z niej korzystać na trzy sposoby. Regulowany kaptur oraz mankiety ułatwią dopasowanie.

Cena: ok. 350 zł
www.go-sport.pl

CIEPŁA I ELASTYCZNA MIŁO YARAM

Techniczna kurtka polarowa wykonana z materiału NanoPILE o średniej gramaturze i teksturowanym wykończeniu. Elastyczne mankiety i boczne panele odpowiadają za świetne dopasowanie i swobodę ruchów podczas wszelkich aktywności fizycznych. Ma mankiety z miejscem na kciuki oraz ściągacz u dołu. Dostępna w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL.

Cena: ok. 330 zł
www.milo.pl



Cena: ok. 500 zł
www.columbia.com

SKUTECZNE TECHNOLOGIE COLUMBIA POWDER LITE MEN

Idealna kurtka do jesiennych aktywności. Lekka, ocieplana i łatwa do spakowania. Dzięki technologii Omni-HEAT™ Reflective odbija ciepło ciała i umożliwia termoregulację, a technologia Omni-SHIELD™ zapobiega wnikaniu wody i zabrudzeń.

TYLKO DLA KOBIET KEEN WOMEN TERRADORA LEATHER MID WP

Wysokiej wydajności buty do pieszych wędrówek. Wykonane z wodoodpornej skóry, zabezpieczają przed wilgocią i dostawaniem się do wnętrza piasku oraz drobnych kamieni. Zaprojektowane specjalnie dla kobiet, zapewniają natychmiastowy i trwały komfort. Usztywniająca cholewka ESS. Podeszwa środkowa wykonana z pianki EVA o niskiej gęstości. Wyjątkowo dopasowane do kobiecej stopy. Wkładka z pianki poliuretanowej o podwójnej gęstości. Podeszwa KEEN all-terrain zapewnia wysoką przyczepność.



Cena: ok. 550 zł
www.keen.pl



Cena: ok. 280 zł
fenix.pl

UNIWERSALNA FENIX HM50R

To latarka czołowa i zarazem miniaturaowa latarka ręczna kątowna. Wyposażono ją w port micro USB, który pozwala na ładowanie jej ładowarką telefoniczną, powerbankiem lub przez podłączenie do komputera. Czołówka jest odporna na zapylenie i ma standard wodoodporności IP68, co pozwala na całkowite zanurzenie jej pod wodą. Latarka pracuje w czterech trybach. Najwyższy świeci z mocą 500 lumenów na dystans 80 m.

LEKKIE I WYTRZYMAŁE BLACK DIAMOND DISTANCE CARBON FLZ

Najlżejsze, wytrzymałe i łatwe do spakowania kije trekkingowe z kolekcji Black Diamond. Zbudowane z trzech segmentów wykonanych z karbonu. System FlickLock® umożliwia idealne dopasowanie długości kija. Rączki wykonano z lekkiej pianki EVA. Model jest dostępny w 3 wariantach długości (95–140 cm).



Cena: ok. 640 zł
www.cragssport.pl

sprawdź ceny

ceneria.pl

outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 500 zł
www.regatta.pl



Cena: od ok. 15 zł
www.amc.com.pl

CZYSTOŚĆ I EKOLOGIA TEAL

Orzechy mydlane to owoce drzew *Sapindus mukorossi*, które rosną w Himalajach. Podczas kontaktu z wodą z orzechów wydziela się saponina, naturalna substancja działająca jak mydło. Taki sposób mycia lub prania jest ekologiczny i przyjazny zarówno dla środowiska, jak i dla zdrowia. Seria Teal zawiera m.in.: żele do prania tkanin używanych w nowoczesnej odzieży sportowej – technicznych oraz merino – zachowujące funkcjonalność tych materiałów, żele do mycia naczyń, mydła do prania itp. Produkty serii Teal mają ekologiczne opakowania.

DLA ZAWODOWCÓW HOKA SPEEDGOAT 2

Ultralekki, ważący zaledwie 278 g but (rozmiar 42^{2/3}), cechuje się świetną dynamiką i wytrzymałością. Został zaprojektowany z myślą o najbardziej wymagających, górskich biegaczach. Doskonałą amortyzację i odporność na wstrząsy zapewnia gruba warstwa pianki Eva. Zmianie w stosunku do wcześniejszej wersji uległa cholewka – poszerzona w kluczowych miejscach, lepiej oddychająca i dodatkowo wzmocniona siateczką. Pełną przyczepność do podłoża gwarantuje podeszwa Vibram® MegaGrip, z zaledwie pięciomilimetrowym spadkiem. Speedgoat 2 ma bogatą paletę kolorów przyciągających wzrok. To najwyższej jakości buty trailowe, co potwierdza czołówka zawodników Biegu Graniań Tatr.



Cena: ok. 650 zł
www.ravenco.eu

CIEPŁO I WYGODA REGATTA AZUMA

Ciepła męska kurtka z kapturem wypełniona nowoczesną ociepliną syntetyczną Atomlight zapewnia komfort w niskich temperaturach. Zewnętrzny materiał poliamidowy pokryty wykończeniem odpychającym wodę chroni przed deszczem i śniegiem. Kompresuje się tak, jakby była z naturalnego puchu. Dzięki zastosowaniu syntetycznej ociepliny można ją prać bez szkody dla materiałów. Doskonały wybór na nadchodzącą jesień i zimę.



Cena: ok. 400 zł
www.elbruswear.pl



NA NIEPEWNA POGODĘ ELBRUS MILEY WO'S

Lekka kurtka trekkingowa przeznaczona dla aktywnych kobiet. Laminowane szwy i zamki oraz membrana 10000 mm zapewniają komfort użytkowania na szlaku i w codziennym użytku. To idealna kurtka, gdy nie jest się pewnym pogody.

DLA AKTYWNYCH BRUBECK ACTIVE WOOL

To średniej grubości bluza całorocznego użytku. Do jej stworzenia wykorzystano najwyższej jakości przędzę z najlepszego gatunku wełny merynosów. Zastosowanie dwuwarstwowej, bezszwowej konstrukcji pozwoliło uzyskać wyjątkowe właściwości termoregulacyjne, co chroni organizm przed wyziębieniem i przegrzaniem. Duża elastyczność wełny sprawia, że bluza nie gniecie się i nie odkształca, a boczne strefy RIB zapewniają idealne dopasowanie do sylwetki. Wyposażona jest w kołnierz ze stojką, suwak zabezpieczony dzianinową osłoną, bezcukiskowe ściągacze oraz elementy odbłaskowe. Bluza idealnie sprawdzi się zarówno na co dzień, jak i w bardziej wymagających warunkach terenowych.



Cena: ok. 280 zł
www.brubeck.pl



Cena: ok. 500 zł
www.keen.pl

NOWE OBLCIE
KEEN TARGHEE EXP MID WP

Targhee przez lata stał się fundamentem kolekcji Trailhead. Jest synonimem trwałości, wytrzymałości i komfortu. Nowy i ultrawytrzymały Targhee EXP został przygotowany, aby sprawdzić się w każdych warunkach. Idealny na wymagające szlaki i miejskie zakamarki. Część środkowa buta na piance EVA o podwójnej gęstości. Wzmocniona stabilizacja kostki. Wodoodporna i oddychająca membrana KEEN.DRY. Waga: 1078 g.

Cena: ok. 70 zł
www.nikwax.com/pl-pl



DBAJ O ODZIEŻ I SPRZĘT
ZESTAW NIKWAX® TECH WASH®
I TX.DIRECT® WASH-IN

Łatwa w użyciu, bezpieczna i bardzo wydajna pielęgnacja odzieży przeciwdeszczowej. Środek czyszczący Tech Wash (zielona nakrętka) bezpiecznie oczyszcza, odświeża właściwości oddychające i nie uszkadza impregnacji. Z kolei impregnat TX.Direct Wash-in (fioletowa nakrętka) nadaje trwałą hydrofobowość, odświeża właściwości oddychające oraz optymalizuje funkcjonalność odzieży przeciwdeszczowej. Środki Nikwax są wyprodukowane na bazie wody, nie zawierają fluorowęgłowodorów i gazów pędnych.



Cena: 799 zł
www.sklep.myphone.pl

NA KAŻDE WARUNKI
MYPHONE HAMMER ENERGY

Odporny, mocny, świetnie zbudowany – Hammer Energy to doskonały smartfon. Wzmocniona konstrukcja potwierdzona certyfikatem IP68 oraz ekran pokryty szkłem Gorilla Glass trzeciej generacji czynią z niego urządzenie dostosowane do każdych warunków pracy. 5-calowy wyświetlacz IPS, 4-rdzeniowy procesor oraz wsparcie 2 GB pamięci RAM zasilane pojemną baterią 5000 mAh zapewnią długie godziny użytkowania smartfona, nawet przy korzystaniu z wielu funkcji jednocześnie: sieci LTE, Wi-Fi czy GPS.

QUECHUA

SZAFKA KEMPINGOWA Z BLATEM ROBOCZYM ORAZ STÓŁ TURYSTYCZNY Z ROZKŁADANYMI KRZESŁKAMI

Szczyt sezonu wakacyjnego już z nami, ale wiele osób również jesienią korzysta ze sprzętu kempingowego. Ja zabrałem zestaw marki Quechua na kilkudniowy rowerowo-trekkingowy pobyt w Bieszczadach.

Pierwszy z testowanych elementów to uniwersalny blat z półkami. Jego podstawowym przeznaczeniem jest przechowywanie rzeczy i gotowanie na zewnątrz. To prosty w konstrukcji mebel, który szybko i łatwo można rozłożyć i złożyć (wymiary złożonego: 93 × 48 × 12 cm). Po rozłożeniu zabezpieczamy go dwoma klipsami. Blaty półek są wyjmowane, co docenimy choćby przy ich czyszczeniu. Po rozłożeniu szafka ma wysokość 84 cm (blat 94 × 46 cm) i odpowiada wysokości mebli kuchennych. Praca przy tym blacie jest bardzo wygodna – oczywiście jak na biwakowe warunki.

Ma 2 przegródki, 5 półek, wentylowane drzwiczki na suwak oraz osłonę. Dają one w sumie 53 litry pojemności, całkiem sporo jak na kempingowe standardy. Waży niespełna 8 kg, więc przeniesienie go z samochodu nie będzie problemem. W zestawie otrzymamy również pokrowiec, który zabezpieczy przed uszkodzeniem w transporcie i ułatwi przenoszenie. Całość ma aluminiowe wykończenia, a maksymalne obciążenie blatu wynosi 50 kg.

Stolik i krzeselka mogą się przydać w wielu sytuacjach – na kempingu, na imprezie rekreacyjnej, na wędkowaniu itp. Komplet waży 8,7 kg. Są dwa uchwyty transportowe (paski) przyłączone do bocznych krawędzi blatu. Z kolei stołki zaczepiane są pod bla-



Cena: ok. 300 zł
decathlon.pl

tem. Zestaw jest bardzo kompaktowy, po złożeniu zajmuje mało miejsca (60 × 60 × 10,5 cm).

Po rozłożeniu blat ma 120 × 60 cm, natomiast po wyciągnięciu nóg znajdzie się na wysokości 70 cm. Otwieranie i zamykanie jest bardzo proste i intuicyjne. Dla bezpieczeństwa podczas transportu zamontowano dwie blokady na bocznej krawędzi blatu. Jest on wykonany z laminowanego drewna, rama i wzmocnienia są z aluminium, nogi zaś – stalowe. Producent zaleca prac ręcznie siedziska, a blat i nogi czyścić wilgotną ściereczką.

Uniwersalność tego zestawu i niewielka cena czynią z niego atrakcyjny produkt dla aktywnych outdoorowców. Jeśli jednak wymiary prezentowanych produktów nie spełnią oczekiwań, warto zapoznać się z całą ofertą sieci sklepów Decathlon, w której jest wiele innych mebli i sprzętów kempingowych.

Test: Grzegorz Miedziński

CROOZER KID 1 PLUS

Croozer Kid 1 Plus mam pół roku, więc mogę sporo o tym produkcie powiedzieć. Jestem bardzo zadowolony i polecam go wszystkim aktywnym rodzicom.

Wymiary złożonej przyczepki to: 105 × 74 × 29 cm. Jej rozłożenie trwa kilka minut i wszystko robi się intuicyjnie. Przyczepka waży 14,2 kg. To dużo, jeśli trzeba ją nosić po schodach. Z drugiej strony: jest solidnie wykonana, dobrej jakości układ jezdny nie daje za wiele oporów podczas spacerowania czy jazdy z rowerem. Zatem jej waga nie jest problemem podczas użytkowania.

Zestaw zawiera dyszel z dwoma zaczepami do roweru, małe kółko oraz zaczepy i większe koło. Dzięki Croozer Kid 1 zyskujemy: komfortową przyczepkę rowerową, zwrotny wózek spacerowy (z użyciem małego kółka) oraz wózek sportowy pozwalający na bieganie czy jazdę na rolkach. Z powodu śnieżnej zimy miałem przyjemność testować jeden z dodatków, czyli Ski Adapter Kit. Pozwala on na wypięcie

Cena: ok. 200 zł
deathlon.pl



kół i wmontowanie w ich miejsce adapterów, w które wpinamy narty. Można biegać na nartach, spacerować, a nawet przemieszczać się rowerem (typu fatbike) w głębszym śniegu. Adaptery pasują do każdych dziecięcych nart zjazdowych (wymiar adaptera to 235 mm, czyli narta musi mieć wiązanie pozwalające na wpięcie buta o takim wymiarze). W skład zestawu wchodzi jeszcze stelaż z regulowaną długością oraz uprząż z zapięciem w pasie i na klatce piersiowej.

W ładną pogodę przednia ściana przyczepki może być otwarta. Gdy aura się zepsuje, można ją zastłonić foliową ścianą zabezpieczającą dziecko przed wiatrem i deszczem. Z kolei w upalne dni można użyć jedynie moskitiery chroniącej przed owadami. Obie zastłonki składa się i rozkłada w kilka sekund (rolowanie i zapinanie). Na każdym spacerze czy przejażdżce rowerowej Zosia po chwili podróżuje w przyczepce zasypiała. Bardzo istotny wpływ na ten komfort ma z pewnością opatentowany system amortyzacji.

Dzięki użyciu elastomeru ze specjalnej mieszanki gumy doskonale wybiera nierówności i nie wymaga żadnej regulacji czy ustawień. Kolejnym elementem poprawiającym komfort pochyty jest siateczka z tyłu wózka, na tzw. plecach dziecka, która zapewnia optymalną wentylację i cyrkulację powietrza. Okna po bokach wózka wykonane z przezroczystego tworzywa sztucznego zapewniają maluszkowi doskonałą widoczność i kontakt z rodzicem.

Croozer Kid 1 Plus ma specjalne szel-

ki (5-punktowe pasy bezpieczeństwa), w które zawsze należy zapiąć małego podróżnika. Ważnym plusem jest też bardzo pojemny, zintegrowany z wózkiem bagażnik, który znajduje się z tyłu. Zapakujemy do niego wszystkie potrzebne rzeczy na co dzień (choćby zakupy), ale również na dłuższe całodienne wycieczki.

Przyczepka Croozer Kid 1 jest bardzo dobrze wykonana. Wszystkie elementy są dopracowane, idealnie połączone i wykonane z wysokiej jakości materiałów. Ma liczne odblaski, nisko położony środek ciężkości, zapewniający małą

wywrotność, oraz hamulec bezpieczeństwa. Wiele dodatkowych akcesoriów można dokupić: specjalny hamaczek dla miesięcznego maluszka, perfekcyjnie amortyzujący wstrząsy, czy pokrowiec przeciwdeszczowy. To niezwykle wszechstronne urządzenie, które pozwala na wiele godzin spędzonych aktywnie z dzieckiem. Po półrocznym użytkowaniu mogę z pełną odpowiedzialnością polecić Croozer Kid 1 Plus.

Test: Grzegorz Miedziński

Cena: ok. 3200 zł
pl.croozer.com



Outdoorowa kolekcja
ACTIVE WOOL sprawdzi się
na szlaku podczas trekkingu.



co zapewnia wysoką trwałość powstałych z nich produktów. Dlatego mimo swojej delikatności wełna merynosów po odpowiedniej technologicznej obróbce zyskuje najbardziej pożądane właściwości – jest miękka i łagodna w dotyku. Odzież, która ma w składzie wysoki procent zawartości wełny merynosów, nie gryzie, nie podrażnia i nie uczula.

Najbardziej dziś ceniona wełna pochodzi z australijskich odmian merynosów.

*Używana w kolekcjach
BRUBECK wełna klasyfikowana jako
Superfine Wool składa się z włókien
o grubości 16,5 mikrona i długości
od 65 mm do 100 mm i jest uważana
za najlepszą naturalną wełnę
na świecie.*

Właściwości wełny merynosów australijskich pozwalają na łączenie jej włókien z włóknami syntetycznymi. W ten sposób powstają najbardziej dopracowane pod względem technologicznym materiały na świecie.

Naturalna funkcjonalność wełny merino i jej doskonałe właściwości użytkowe zyskały zupełnie nowy wymiar dzięki niezwykle połączeniu włókien wełnianych i funkcyjnych mikrowłókien. Dwuwarstwowa budowa sprawia, że dzianina niespotykanie łatwo transportuje wilgoć. Znajdujące się w wewnętrznej warstwie mikrowłókna poliamidowe szybko odprowadzają nadmiar wilgoci do zewnętrznej warstwy wełnianej. Wełna merino, genetycznie przystosowana do świetnego pochłaniania wilgoci, może zatrzymać jej w sobie aż 35 proc. w stosunku do własnej masy. Nie pozostawia przy tym nieprzyjemnego uczucia mokrej odzieży. Warstwa wełny merino skutecznie gromadzi także powietrze, tym samym staje się naturalną barierą termoizolacyjną, która latem chroni przed przegrzaniem, a zimą utrzymuje ciepłotę ciała. Komfort termiczny i prawidłowy mikroklimat między skórą a odzieżą zostają zachowane także dzięki odpowiedniej wentylacji. Dodatkowo odzież wełniana chroni przed szkodliwym działaniem promieni UV.

Jako naturalne włókno wełna jest wykorzystywana przez człowieka od tysięcy lat. Liczne badania i obserwacje poza

Inspirująca bliskość natury – wełniana odzież termoaktywna BRUBECK[®]

W odpowiedzi na potrzeby aktywnych miłośników przyrody, podróżników, którzy szukają przygód i wysoko cenią bliskość natury, BRUBECK stworzył kompletną kolekcję wełnianej bielizny termoaktywnej. W poszukiwaniu inspiracji projektanci marki zwrócili się ku prostym rozwiązaniom – postanowili zapewnić ochronę i komfort użytkownika odzieży przez cały rok podczas różnych aktywności i wykorzystali najlepszy surowiec, jaki stworzyła sama natura – wełnę merynosów australijskich. Jej najszlachetniejszy gatunek – o grubości włókna 16,5 mikro-

na – jest stosowany w koszulkach, bluzach i bieliznie z linii **COMFORT WOOL**, **ACTIVE WOOL** i **EXTREME WOOL**.

Merynosy to szczególna rasa owiec, których runo pozyskiwane do produkcji odzieży charakteryzuje się niepowtarzalnymi włóknami. Są one niezwykle cienkie, co sprawia, że runo jest znacznie bardziej gęste i ma zdecydowanie lepsze właściwości termoizolacyjne. Włókna merino są również naturalnie karbikowane – ich genetyczną właściwością jest sprężystość i elastyczność,



Bluzy typu second layer z kolekcji
ACTIVE WOOL zapewnią komfort
na górskich wycieczkach.

wskazaniem na jej funkcjonalne cechy podkreślają także jej właściwości mogące pozytywnie wpływać na zdrowie. Istotną częścią naszego codziennego samopoczucia jest bilans jonów ujemnych (atomów obdarzonych ujemnym ładunkiem elektrycznym) oraz jonów dodatnich (atomów naładowanych dodatnio). Wytwarzane przez naturę – rośliny, lasy, góry, morza, jeziora, ale też wodospady czy deszcze – jony ujemne sprawiają, że w naturalnych przestrzeniach czujemy się lepiej, jesteśmy mniej rozdrażnieni, a nasz stan zdrowia znacząco się poprawia. Jony dodatnie są efektem rozwoju cywilizacyjnego – pochodzą od linii wysokiego napięcia, fabryk, samochodów, wszelkich urządzeń domowych. W środowisku tak przesyconym negatywnym wpływem na samopoczucie,

z zaburzoną równowagą jonów, trudno oczekiwać od siebie pełnej koncentracji i harmonijnego funkcjonowania. Wełna merino zubożętnia jony dodatnie, co wpływa dobroczynnie na system nerwowy, może łagodzić nerwobóle lub bóle stawów i kończyn. Podczas noszenia odzieży z wełny merino mikromasaż włóknami wełny wspomaga prawidłowe ukrwienie komórek oraz wpływa na poprawę krążenia. Wełna z merynosów, dzięki samooczyszczającym się łuskom znajdującym się na powierzchni włókien, wypiera też nieprzyjemny zapach powstający w wyniku osadzania się potu. Odzież wykonana z wełny merino charakteryzuje się zdolnościami antyalergicznymi, antystatycznymi oraz antybakteryjnymi. Nie powoduje żadnych podrażnień skóry, dlatego świetnie sprawdzi się dla osób

w każdym wieku, także dzieci z wrażliwą skórą oraz alergików.

Cienka, bardzo lekka i przyjazna ciału wełniana odzież jest podstawą właściwego ekwipunku podczas wycieczek trekkingowych, wypraw wysokogórskich, intensywnego uprawiania sportów zimowych, sprawi także, że codzienne zajęcia będą bardziej komfortowe niż dotąd. Kiedy wychodzimy na górską wędrowkę, aktywnie odpoczywamy nad jeziorem czy wybieramy się w daleką, wymagającą podróż, to robimy krok w stronę natury. Kolekcja BRUBECK WOOL sprawi, że jej prawdziwy dotyk będzie towarzyszył nam wszędzie.

Mat. prasowe BRUBECK

www.brubeck.pl

Zwis męski ozdobny

Kiedyś chusty wiązane na szyi i ozdobne tkaniny noszone przez Chorwatów, a dziś obowiązkowy element każdej męskiej garderoby. Zanim krawat, bo o nim mowa, uzyskał swój ostateczny kształt, przebył długą drogę, by na stałe zagościć w Europie. Jego długość i szerokość ulegała zmianom, w zależności od wysokości spodni – im wyższy stan, tym krótszy krawat. „Zwis męski ozdobny” to polska nazwa handlowa ustanowiona w drugiej połowie lat 70. Trwała wówczas kampania, która miała na celu chronienie czystości języka ojczystego, dlatego wymyślano polskie odpowiedniki wyrazów obcego pochodzenia. Na szczęście ta nazwa nie przyjęła się na stałe.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE





KENIA – WIELKA MIGRACJA ZWIERZĄT



FRIULI – SZAFKA PEŁNA CUDÓW



BRUNEI – URODZINY SUŁTANA

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek

katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej

Julia Michalczywska

julia.michalczywska@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji

Anna Krysztofiak-Gawryjołek

redakcja@poznaj-swiat.pl

tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,

Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,

Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,

Tomasz Owsiany, Anna Szczęśna, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku

Maciej Jurkowski

Korekta

Joanna Lewandowska

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaškowa Dolina 17

redakcja@poznaj-swiat.pl

www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o.

80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych

Beata Pernak

prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?

Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8

IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004

SWIFT BREXPLPWGDA



facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama

marketing@poznaj-swiat.pl

tel. 535 444 980

Reklama outdooru

Grzegorz Miedziński

tel. 501 641 706

Reklama świata

Aleksandra Musiał

tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Devold® Expedition

Najcieplejsza bielizna na szlaku



We are masters of merino wool
www.devold.pl

DEVOLD®
NORWAY 1853

INNS' BRUCK



INNSBRUCK TOURISMUS GRAFIK G.m.b.H.

Innsbruck - Stolica Alp.

Przygody w mieście i przeżycia w górach. Widoki ze szczytów i gęsia skóra. Kultura i cuda natury. Innsbruck fascynuje jako stolica Alp ze swoimi wyjątkowymi atrakcjami między 574 i 2.350 metrów n.p.m.

Prosimy o kontakt:

Innsbruck Tourismus www.innsbruck.info/pl
email hotel@innsbruck.info Telefon +43 512 / 53 560

www.innsbruck.info/pl